26/11/2021

BEZPŁATNY DODATEK DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO PRZYGOTOWANY
WE WSPÓŁPRACY Z ODDZIAŁEM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ W ŁODZI

Dziennik ŁÓDZKI

Niemiecki obóz w Łodzi dla polskich dzieci

FOT. IPN ODDZIAŁ W ŁODZI

Wizytacja obozu przez szefa niemieckiej policji kryminalnej w Łodzi SS-Sturmbannführera Karla Ehrlicha, którego oddelegowano w grudniu 1941 r. z Chemnitz do Łodzi

ARTUR OSSOWSKI

11 grudnia 1942 r. zarejestrowano pierwszy transport więźniów w niemieckim obozie dla polskich dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi; od tragicznego wydarzenia upłynęło już 79 lat. Dziś przypominamy historię obozu i przedstawiamy najważniejsze informacje z nim związane. Bez materiałów Instytutu Pamięci Narodowej wiedza na jego temat byłaby niepełna.

Dlatego próbujemy odpowiedzieć na nurtujące pytania i ukazać znaczenie procesu obozowej nadzorczyni – Eugenii Pol. W niniejszym dodatku znajdą Państwo również kalendarium wydarzeń, zrekonstruowany plan obozu wraz z opisem poszczególnych obiektów, historię funkcjonowania tej zbrodniczej placówki oraz odtworzony życiorys Józefa Witkowskiego, gdyż bez niego temat obozu nie zostałby nagłośniony. Przedstawiamy także kulisy budowy Pomnika Martyrologii Dzieci oraz prezentujemy krótki biogram jednej z ofiar obozu. Mamy nadzieję, że pomoże to Państwu zrozumieć, jaką funkcję pełnił obóz i jak bardzo jego upamiętnienie związane było z polityką historyczną PRL.

Niezależnie jednak od ocen historycznych, naszym obowiązkiem jest przypominanie tragicznych wydarzeń z okresu II wojny światowej, co jest istotne w kontekście regionalnej historii oraz losów Łodzi – nazywanej butnie przez okupanta niemieckiego „Miastem Litzmanna”.

KALENDARIUM

18 czerwca 1941. Nadburmistrz Litzmannstadt (niemiecka nazwa Łodzi w czasie II wojny światowej) Werner Ventzki aprobuje pomysł utworzenia specjalnego obozu dla dzieci i młodzieży polskiej.

30 lipca 1941. W raporcie do Berlina prezydent policji dr Wilhelm Albert wzmiankuje o możliwości utworzenia obozu dla nieletnich Polaków w majątku rolnym w miejscowości Dzierżązna nieopodal Zgierza.

30 września 1942. Z Getta Litzmannstadt Niemcy wydzielają pięciohektarową działkę pod obóz, jego ogrodzenie zostaje wzniesione wzdłuż ulicy Brackiej, Emilii Plater, Górniczej oraz muru cmentarza żydowskiego.

1 grudnia 1942. Rozpoczyna działalność niemiecki obóz dla polskich dzieci, wciąż kontynuowana jest jego rozbudowa, gdyż ma w nim zostać osadzonych ok. 2 tys. więźniów.

11 grudnia 1942. Rejestracja pierwszego transportu. Do obozu mają być kierowani wyłącznie chłopcy w wieku od 12 do 16 lat, lecz już wśród przywiezionych jest 14-letnia Halina Szturma.

18 stycznia 1943. Zniesiono ograniczenia dotyczące płci oraz wieku nieletnich, odtąd do obozu trafiają chłopcy i dziewczęta w wieku od 8 do 16 lat. Do obozu Niemcy przywożą również dzieci kilkuletnie, lecz większość z nich odsyłana jest do sierocińców.

27 marca 1943. Rozpoczynają się prace przygotowawcze w ok. 150 ha majątku Dzierżązna, niebawem do filii rolnej obozu trafią pierwsze więźniarki.

15 kwietnia 1943. W korespondencji z Berlinem władze obozowe podają, że stan osobowy placówki nie przekracza 350 więźniów obojga płci. Dla dziewcząt zostaje wydzielona strefa pomiędzy obecną ul. Emilii Plater i Tadeusza Mostowskiego. Do tego podobozu trafią również małe dzieci, które uprzednio wyselekcjonowano w badaniach rasowych, jako nadające się do germanizacji.

9 maja 1943. Wycieńczona głodem i biciem, umiera 14-letnia więźniarka Urszula Kaczmarek. O współudział w jej śmierci została później oskarżona obozowa nadzorczyni Eugenia Pol.

14 września 1943. Do obozu przesłano dużą grupę dzieci z podpoznańskiej miejscowości Mosina. Niemcy wobec mieszkańców stosują odpowiedzialność zbiorową, uznając że większość zatrzymanych to żołnierze Armii Krajowej. Dorośli są wysyłani do obozów koncentracyjnych, zaś ich potomstwo trafia m.in. do obozu w Łodzi.

29 września 1943. Szczegółowy raport o stanie obozu potwierdza obecność 926 więźniów, z nich aż dwie trzecie powinno być leczonych ambulatoryjnie z powodu świerzbu, jaglicy, czyraków, anginy, szkorbutu, ran ciętych i tłuczonych, ropnego zapalenia uszu i oczu, poparzeń oraz nieżytu żołądka.

24 grudnia 1943. Z obozu wywieziono do getta ponad setkę chorych dzieci na tyfus i umieszczono je w szpitalu zakaźnym przy ul. Dworskiej 74 (obecnie ul. Wolność i Niezawisłość).

25 stycznia 1944. W podobozie dla dziewcząt uruchomiono łaźnię dla więźniów, co miało poprawić katastrofalne warunki higieniczne. Do użytku oddano również pralnię i zaordynowano, że bieliznę więzienną należy wymieniać co dwa tygodnie.

31 stycznia 1944. W raporcie obozowym stan więźniów określono na 1086 osób. Do połowy 1944 r. ich liczba przekroczy już 1400 i następnie zacznie maleć, ponieważ ok. 200 więźniów zostaje skierowanych do pracy przymusowej w łódzkich fabrykach lub do przedsiębiorstw w głębi Niemiec. Niektóre dzieci są też zwalnianie, zaś inne trafiają m.in. do obozu w Potulicach.

4 września 1944. Z filii rolnej Dzierżązna ucieka 15-letnia więźniarka Leokadia Dziedzic, jest to jedna z niewielu udanych ucieczek.

18 stycznia 1945. Niemieccy strażnicy i volksdeutsche opuszczają obóz. Dzień później do Łodzi wkracza Armia Czerwona. W opustoszałym obozie pozostaje ok. 300 schorowanych i zmarzniętych więźniów.

DODATEK SPECJALNY DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO

Przygotowany we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi

Wydawca:
Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45,
02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00,
fax: 22 201 44 10

Adres redakcji:
Polska Press Sp. z o. o.,
Oddział w Łodzi,
90-532 Łódź, ul. ks. Skorupki 17/19

Prezes Oddziału w Łodzi:
Marcin Polak
Redaktor naczelny:
Mirosław Malinowski
Red. odpowiedzialny:
Sławomir Sowa
Dyrektor artystyczny:
Tomasz Bocheński

NARRACJA O OBOZIE DLA POLSKICH DZIECI WYMAGA TWARDYCH FAKTÓW

Rozmowa z Arturem Ossowskim, naczelnikiem Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej, Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Oddział w Łodzi

SŁAWOMIR SOWA

Czy Niemcy tworząc w Łodzi obóz dla polskich dzieci wzorowali się na podobnej placówce, którą wcześniej utworzyli u siebie w Moringen?

Nie tylko w Bawarii, ale również w Dolnej Saksonii powstał jeden z pierwszych nazistowskich obozów. Do listopada 1933 r. mieścił się on w szpitalu psychiatrycznym w Moringen i początkowo przetrzymywano w nim wyłącznie mężczyzn. Następnie przywieziono doń kobiety, lecz w grudniu 1938 r. zlikwidowano placówkę, przenosząc ok. 1400 więźniarek do zamku w Lichtenburgu. Moringen opustoszało na krótko i po rozbudowaniu infrastruktury, przyjęło młodocianych Niemców w wieku od 13 do 22 lat. Od 1941 r. obóz określano mianem Jugendschutzlager i izolowano w nim odmawiających wstąpienia w szeregi Hitlerjugend oraz Wehrmachtu. Nawet antyhitlerowska działalność rodziców mogła być powodem zesłania dziecka do obozu. Wśród osadzonych byli również pospolici przestępcy, a nawet bywalcy klubów jazzowych. Więźniowie pracowali na kolei, na poczcie, w rolnictwie, przy regulacji rzek czy też w pobliskiej cementowni, cukrowni oraz fabryce amunicji. Większość z uwięzionych chłopców to Niemcy, choć represjonowano również osoby innej narodowości, na pewno byli wśród nich Słoweńcy, zapewne obywatele Czechosłowacji oraz Polski. Obóz funkcjonował do 9 kwietnia 1945 r. i szacuje się, że więziono w nim ok. 1500 osób. Wiemy, że z powodu brutalności strażników i ciężkich warunków pracy, a nawet na skutek pseudomedycznych eksperymentów, zamordowanych lub zabitych zostało co najmniej 10 proc. osadzonych. Dane te są istotne, gdyż możemy je odnieść do podobnego ośrodka w Łodzi, który Niemcy następnie założyli w grudniu 1942 roku.

Czyli powstanie tego typu obozów to rodzaj przemyślanej akcji, której celem była izolacja, a nawet chęć wyniszczenia danej grupy społecznej lub osób opierających się polityce III Rzeszy?

Dokładnie, to był kluczowy element polityki niemieckiej pod rządami Adolfa Hitlera. Do czynników niepolitycznych dodajmy silnie wyeksponowany wątek rasistowski, albowiem „zdemoralizowane dzieci polskie, będące przedstawicielami niższej rasy Słowian, godziły w bezpieczeństwo młodych Niemców, którzy według nazistowskiej ideologii, będąc Germanami i nadludźmi, nie mogli czuć się zagrożeni na nowo podbitych ziemiach". Dlatego pobicie niemieckiego dziecka przez rówieśnika polskiego było zbrodnią. Według raportów niemieckiej policji młodocianych Polaków predysponowały do tego następujące czynniki lub cechy charakterologiczne: zaniedbanie, brak opieki rodzicielskiej, złodziejstwo, włóczęgostwo, nielegalny handel, przekraczanie granicy bez zezwolenia i uchylanie się od obowiązku pracy. To tylko część przewinień z bogatego dossier niemieckiej policji kryminalnej, które wpisywano młodym Polakom i Polkom do kart zatrzymań, gdy wysyłano je do obozu przy ul. Przemysłowej w Łodzi. Okupant niemiecki w ogóle nie dociekał przyczyn, tak jakby pauperyzacja polskiego społeczeństwa nie była następstwem wojny i okupacji. Przecież to jego zarządzenia administracyjno-prawne, wsparte brutalnymi akcjami wojskowo-policyjnymi, prowadzą do załamania podstaw bytowych polskich i żydowskich rodzin. Terror – w okupowanej Polsce – wciąż narastał, zatrzymywano rodziców i opiekunów prawnych dzieci, przeprowadzano masowe egzekucje. Do niemieckich obozów i więzień trafiło dziesiątki tysięcy osób. Należy również pamiętać, że infrastruktura okupowanej Polski jest zniszczona walkami w 1939 r., a Niemcy już realizują masowe wysiedlenia z obszarów wcielonych w granice tzw. Wielkiej Rzeszy. Łódź będąc częścią państwa niemieckiego i przynależąc administracyjnie do Kraju Warty, w kwietniu 1940 r., zostaje przemianowana na Litzmannstadt.

POMYSŁ ZAŁOŻENIA OBOZU NARODZIŁ SIĘ JUŻ W 1941 R., LECZ WYMAGAŁ AKCEPTACJI BERLINA I ZGODY NA JEGO LOKALIZACJĘ

Wróćmy jednak do zagadnienia obozu przy ul. Przemysłowej. Dlaczego powstał dopiero w 1942 r. i miejscem jego dyslokacji uczyniono Łódź?

Na pewno należy wskazać kilka czynników, ale według mnie decydujące było położenie miasta, jego sieć komunikacyjna oraz charyzma niemieckich urzędników. Pamiętajmy, że w mieście od 1940 r. działa Centrala Przesiedleńcza i tu jest kilkanaście obozów dla polskiej ludności z Pomorza, Kujaw, Wielkopolski i Żywiecczyzny. Dziesiątki tysięcy osób zostaje stąd wysiedlonych do Generalnego Gubernatorstwa. Nikt nie przejmuje się zmarłymi Polakami, a w dowód uznania niemieccy urzędnicy z Łodzi, w listopadzie 1942 r., dopomagają w pacyfikacji Zamojszczyzny. Do Łodzi i pobliskich miejscowości są przesiedlani również Niemcy ze Wschodu. Dla nich czekają opróżnione mieszkania po wysiedlonych Polakach i Żydach. Zwłaszcza istnienie tzw. Ghetta Litzmannstadt będzie istotne dla historii dziecięcego obozu. W tej zamkniętej przez Niemców strefie odizolowanych było niemal 200 tys. Żydów. Większość z nich zginie w niemieckich obozach koncentracyjnych lub umrze z głodu i chorób. W 1942 r. z getta wyłączona zostaje pięciohektarowa działka, której obszar można ograniczyć do współczesnych ulic: Brackiej, Emilii Plater, Górniczej i Zagajnikowej. W latach 60. XX w. wzniesiono czteropiętrowe bloki i całkowicie przekształcono poobozowy teren, lecz dwie ulice na osiedlu: Tadeusza Mostowskiego oraz Przemysłowa, to niemal dawne aleje dziecięcego kacetu. Szczególnie istotna jest ul. Przemysłowa, ponieważ istniała ona przed wojną i dochodziła do ul. Brackiej. W warunkach obozowych przedłużono ją do ul. Górniczej i nią wjeżdżały ciężarówki z małoletnimi więźniami. Przy niej mieścił się również budynek komendantury obozu, istniejący do dziś pod numerem 34. Dlatego nazwa ulicy staje się synonimem obozu, a nawet mówi się o „dzieciach z Przemysłowej", choć rok po zakończeniu wojny, socjolog Maria Niemyska-Hessenowa użyła w swej książce sformułowania „dzieci z lagru" i miała na myśli przeszło 200 sierot z tegoż obozu, którymi zaopiekowały się władze miasta.

Czyli obóz zaczął działać w grudniu 1942 r. i do niego kierowano dzieci, których rodzice odmówili przyjęcia volkslisty?

Pomysł narodził się już w 1941 r., lecz wymagał akceptacji Berlina i zgody na jego lokalizację. Łódzkie getto było ściśle odizolowaną strefą i w niej można było budować nowy obóz, wykorzystując istniejące zabudowania oraz majstrów żydowskich. Wygrodzono teren i zaadoptowano część budynków, choć prace kontynuowano jeszcze wiosną 1943 r., wznosząc kilka baraków dla wciąż wzrastającej liczby więźniów. Początkowo wymieniono go wśród innych obozów koncentracyjnych i uznano, że ma być on ośrodkiem izolacyjnym dla chłopców wieku od 12 do 16 lat. Ostatecznie został wyłączony z podległości służb nadzorujących obozy koncentracyjne i oddany pod zarząd niemieckiej policji kryminalnej przy ul. Kilińskiego 152 w Łodzi. Pieczę nad działalnością policji sprawowało miejscowe Gestapo rezydujące przy al. Anstadta 7 (obecnie XII Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Wyspiańskiego). To ci funkcjonariusze zsyłali do obozu potomstwo osób działających w ruchu oporu, czego przykładem jest los

dzieci z podpoznańskiej miejscowości Mosina, której rodzice byli żołnierzami Armii Krajowej. Odmowa przyjęcia niemieckiego obywatelstwa, czyli volkslisty, też skutkowała zesłaniem do obozu. Nie był to jednak główny powód przekazania dzieci do ośrodka, gdyż nadrzędnym celem stało się oczyszczenie przepełnionych więzień i aresztów w Kraju Warty, a nawet w Generalnym Gubernatorstwie. Do obozu zesłano również chłopców z polskich rodzin, których przetrzymywano w niemieckim domu poprawczym w Grodkowie (niem. Grottkau) na Opolszczyźnie, choć nie byli oni obywatelami przedwojennego państwa polskiego. Dobrze znali język niemiecki i byli starsi od większości więźniów, stąd przydzielono im funkcje sztubowych, blokowych i obozowych trębaczy.

Jednak w obozie zatrudniano także polskich pracowników. Jaka była ich rola i czy oni również byli odpowiedzialni za cierpienie osadzonych dzieci?

Pamiętajmy, że obóz stworzyli Niemcy, wzorując się na podobnym ośrodku w Moringen i ich celem była izolacja polskich dzieci. Za to ponoszą oni pełną odpowiedzialność, albowiem stworzyli system przymusowej pracy w obozie, wyznaczali i egzekwowali kary oraz dobierali jego personel. W pierwszej kolejności przyjmowano niemieckich strażników z obozów przesiedleńczych i obozów dla niemieckich repatriantów m.in. z podłódzkiego Tuszyna. Następnie przydzielano stanowiska w obozie kalekim weteranom z Waffen SS, którzy walczyli z partyzantami na Białorusi i Ukrainie. Doceniono również miejscowych volksdeutschów przyjmując m.in. polskiego żołnierza z września 1939 r. i strażnika zakładowego Edwarda Augusta, najlepiej wykształconą funkcjonariuszkę obozową – Sydonię Bayer (absolwentka gimnazjum), czy też 20-letnią Genowefę Pohl. Z Polaków – zatrudnionych w obozie – należy wymienić przedwojennego policjanta i obozowego fotografa Józefa Borkowskiego, tłumaczy Franciszka Świerzyńskiego i Józefa Umińskiego oraz pobierającego odciski daktyloskopijne Boratyńskiego. Kolejni przedwojenni stróże prawa, zatrudnieni w owej placówce to Józef Nowak, Alfons Pośpiech i Hofmann, zaś majstrami byli Michał Duchnowski (podobno ukraińskiego pochodzenia), Franciszek (Feliks) Stankiewicz, Jan Sierpień i Józef Rynkowski (Rękowski), którzy nazywani byli „wychowawcami", choć do ich obowiązków nie należała opieka nad osadzonymi, ale przede wszystkim organizowanie oraz nadzorowanie ich pracy. Do wyprostowania było tysiące igieł dziewiarskich, nazywanych potocznie tkackimi. Ponadto należało zreperować wojskowe plecaki, ładownice, pasy główne, naprawić obuwie oraz zacerować mundurowe bluzy i spodnie. Rękoma dzieci zbijano skrzynki na amunicję małego kalibru i skrzynie na granaty, zaś dla przenoszenia pocisków artyleryjskich wyplatano kosze z wikliny. Z tego materiału tworzono także maty podkładowe, których używali niemieccy żołnierze, gdy ich pojazdy kołowe grzęzły w błocie lub śniegu. Pomyślano nawet o wartownikach pełniących zimą służbę na froncie wschodnim, ponieważ z obozu dostarczano dla nich nieforemne łapcie ze słomy. Tego typu obuwie uwieczniły niemieckie kroniki wojenne, pokazując żołnierzy obutych w ten sposób. Dziś widok owych „łapci" wzbudza śmiech, ale ich wykonanie kosztowało dzieci godziny pracy. Musiały wypleść długie warkocze słomy, związać je sznurem i zszyć, aby uformować z nich olbrzymi kapeć, w którym miał zmieścić się wojskowy but. Wymieniam szczegółowo owe procesy produkcyjne, ponieważ ujawniają nam pośrednio charakter obozu. Dla Niemców był to przede wszystkim ośrodek izolacyjny dla młodych Polaków i Polek. Nie można ich było żywić jednak bez żadnych korzyści, gdyż obóz musiał wykazać swą przydatność. Funkcjonował podobnie jak pobliskie getto, będąc olbrzymim warsztatem, gdzie posłuch wymuszano biciem, pobytem w karcerze oraz ograniczaniem racji żywnościowych. Kończąc wątek polskich pracowników obozu, należy wymienić fryzjera Stanisława Mikołajczyka i dwie osoby obsługujące więzienną kuchnię, tj. Wacławę Sobczyńską oraz Manieckiego. Dodatkowo w majątku rolnym obozu w Dzierżąznej zatrudnienie znalazł buchalter Mieczysław Tomczak, który legitymował się gimnazjalnym wykształceniem i zdobył zaufanie tamtejszego komendanta – Hansa Fuge.

Czyli, aby obóz mógł funkcjonować byli potrzebni żydowscy fachowcy, którzy wdrażali małych więźniów do pracy?

Bez nich produkcja nie byłaby tak szeroka i wyspecjalizowana, ponieważ przenosili oni sposób organizacji pracy, wdrożony w resortach getta. Dodatkowo dla nich była to jedyna możliwość przeżycia, gdyż kto nie pracował to nie jadł. Natomiast skierowanie z getta do obozu przy ul. Przemysłowej było szansą na otrzymanie żywności i chroniło przed deportacją do obozów zagłady. W ten sposób przenikał się los Żydów z polskimi dziećmi i w większości przypadków ich relacje były poprawne. Rzadko stosowali przemoc wobec więźniów, zachowały się nawet

FOT. KRZYSZTOF SZYMCZAK

Artur Ossowski na tle pomnika Pękniętego Serca

relacje o ich pomocy osadzonym. Z getta krawcy przynosili części do maszyn szyjących, nie zawiadamiając Niemców o uszkodzeniu spowodowanym przez dziecko. Wymiana wadliwych elementów urządzenia na sprawne, chroniła małoletniego przed karą, zaś żydowski majster mógł ukończyć zlecone zadanie i wykonać narzucone normy. Dla niego była to gwarancja dalszej pracy i dostępu do żywności. Dotyczy to również żydowskich elektromonterów obsługujących obozowy warsztat, gdzie wybrani chłopcy naprawiali podzespoły samochodowe. Dość ważna jest w tym przypadku relacja 34-letniego Żyda z Pragi, który informował w latach 70. XX w. polski sąd, że nie był to obóz koncentracyjny. Swoją opinię kształtował na podstawie własnych przeżyć i pobytu w Auschwitz, gdzie zesłano go w połowie 1944 r. Wspominał, że w obozie przy ul. Przemysłowej był głód, ale w porównaniu z gettem oraz ośrodkiem zagłady nad rzeką Sołą, była w nim możliwość posilenia się mało kaloryczną żywnością. Oczywiście długotrwały głód rujnował zdrowie dzieci w większym stopniu, aniżeli u osób dorosłych. Dlatego późniejsze badania medyczne potwierdziły, że 35-latkowie lub 45-latkowie pobyt w obozie przypłacili poważnym uszczerbkiem na zdrowiu. Ogólną ich kondycję fizyczną przyrównywano do stanu zdrowia ówczesnych 70-latków. Najtrudniej było jednak zbadać skutki psychiczne pobytu małych więźniów w obozie, ponieważ ich trauma trwała wiele lat po wojnie i nierzadko kładła się cieniem na ich życie rodzinne. Dlatego zasadnym jest przyrównanie warunków panujących w łódzkim obozie do tych w innych obozach koncentracyjnych, choć formalnie obóz przy ul. Przemysłowej nie był tego typu ośrodkiem. Panowały jednak w nim nieludzkie warunki i za to winę ponosi przede wszystkim okupant niemiecki oraz pośrednio wysługujący się mu volksdeutsche, czy też pracownicy innej narodowości.

Ludzie ci nie ponieśli żadnej odpowiedzialności za współpracę z okupantem niemieckim, zaś swoistym „kozłem ofiarnym" została Eugenia Pol vel Genowefa Pohl, do której skazania przyczynił się autor jedynej monografii o obozie Józef Witkowski.

ZA WIARYGODNE PRZYJMUJEMY DZIŚ DANE MÓWIĄCE O OK. 2-3 TYS. DZIECI, KTÓRE PRZESZŁY PRZEZ NIEMIECKI OBÓZ

Należy pamiętać, że Józef Witkowski – prawdopodobnie więzień obozu – był autorem, wydanej w 1975 r. we wrocławskim Ossolineum, książki „Hitlerowski obóz koncentracyjny dla małoletnich w Łodzi". Bez jego dociekań nasza wiedza o tym miejscu byłaby niepełna, a przede wszystkim nie zostałyby opracowane i zebrane materiały archiwalne i relacje więźniów. W publikacji nadmierną wagę poświęcił on Pol, gdyż – w trakcie jej procesu – pośrednio przyczynił się do jej skazania na 25 lat więzienia, dlatego eksponował w książce ten wątek. Sam proces wymaga jednak oddzielnej oceny, ponieważ liczby przytaczane przez Witkowskiego – odnośnie ilości więźniów i ofiar obozu – nie znajdują potwierdzenia w materiale archiwalnym, którego dysponentem jest Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi. Problem dotyczy nie tylko braku odpowiedzialności karnej byłych pracowników obozu, ale również sposobu prezentacji historii obozu w czasach komunistycznych. Dziś przytaczamy zupełnie inne dane, pokazujemy rolę Witkowskiego w aparacie bezpieczeństwa oraz mechanizm funkcjonowania propagandy w kontekście upamiętniania obozu. Nie pomniejszamy cierpień ofiar obozu, ani nie zamierzamy negować zbrodni niemieckich na narodzie polskim. Przedstawiamy w niniejszym dodatku prasowym istotne fakty, uwypuklamy dzieje obozu, prezentujemy statystyczne dane, przybliżamy los jego ofiary i oceniamy powojenne procesy obozowych funkcjonariuszy. Nie mogę się również zgodzić z twierdzeniami niektórych dziennikarzy i autorów współczesnych książek opisujących obóz jako „zapomniane miejsce" lub „miejsce niewygodne dla współczesnych elit", gdyż jest to nadużycie. Dlatego zgadzam się z opinią – emerytowanego pracownika Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi – Wojciecha Źródlaka, że nikt nie zacierał z premedytacją śladów po obozie. Ponadto miejsce to na kilka miesięcy przejęły sowieckie siły, które – według jego oceny dokonały spustoszenia w infrastrukturze i w materiałach archiwalnych. Więźniowie obozu wspominają, że po ucieczce Niemców, dokumentacja obozowa leżała rozrzucona i część materiałów ocaliły dzieci, a inne spalono. Zabudowanie poobozowego miejsca czteropiętrowymi blokami, też nie było przejawem komunistycznej arogancji, ale konsekwencją rozbudowy miasta i potrzebą przekazania nowych mieszkań przede wszystkim funkcjonariuszom Milicji Obywatelskiej, Służby Bezpieczeństwa oraz Wojska Polskiego. Pamiętajmy, że wschodni skraj Bałut i tereny, gdzie istniało getto były bardzo długo zaniedbanymi przedmieściami miasta, które należało pilnie przekształcić i nasycić nową infrastrukturą. Architekci projektujący nowe osiedle mieszkaniowe w ogóle mogli nie zdawać sobie sprawy, że w okresie wojny, w tym miejscu znajdował się niemiecki obóz dla polskich dzieci.

Wnioskuję z Pana wypowiedzi, że dla władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie był to temat wstydliwy, a nawet próbowano go wyzyskać propagandowo i politycznie. Czy to się udało i czy zbudowano spójną ogólnokrajową narrację na temat obozu, liczby jego więźniów oraz ilości ofiar?

W trakcie rozbudowy osiedla, podjęto już decyzję o symbolicznym upamiętnieniu obozu. Jako pierwszą wyróżniono nowo zbudowaną placówkę edukacyjną – obecną Szkołę Podstawową nr 81 im. Bohaterskich Dzieci Łodzi, w której stworzono izbę pamięci oraz makietę ośrodka. Do niej trafiły pamiątki po więźniach i tu spotykali się z uczniami, ci którzy ze względu na stan zdrowia oraz umiejętności mogli poświadczyć o swoich przeżyciach obozowych. Do dziś szkoła prowadzi przemyślane i spójne działania, których celem jest przypomnienie historii obozu oraz tragedii jego więźniów. Obecnej narracji historycznej nie przeszkadza tło polityczne, gdy krajem rządził Władysław Gomułka, gdy eksponowano cierpienie narodu polskiego i to w atmosferze narastającej nagonki antysemickiej. Dlatego zwieńczeniem owych działań – już pod przewodnictwem Edwarda Gierka – było odsłonięcie w Parku Miejskim im. Młodzieżowego Oddziału Gwardii Ludowej „Promieniści" (obecnie Park im. Szarych Szeregów) Pomnika Martyrologii Dzieci. Do dziś jest to jeden z ładniejszych pomników w Łodzi i jego forma bardzo trafnie oddaje cierpienie dziecka oraz grozę miejsca, w którym dopuszczono się zbrodni na najmłodszych obywatelach państwa polskiego. Dzisiaj nie potwierdzamy liczb, które przytaczano w minionych latach. Nie do obrony są dane eksponujące 12 tys. lub nawet 15 tys. więźniów, z których przeżyć miało jedynie 900. Owe szacunki stopniowo obniżano i to już w trakcie procesu Eugenii Pol, zaś dziś skłaniamy się do uznania za wiarygodne dane mówiące o ok. 2-3 tys. dzieci, które przeszły przez niemiecki obóz przy ul. Przemysłowej w Łodzi. Natomiast potwierdzona liczba zmarłych lub zamordowanych dzieci w obozie nie przekracza osiemdziesięciorga. Uwzględniając jednak zeznania i relacje byłych więźniów można podnieść dane do ok. 200, ponieważ część dzieci zmarła kilka dni po opuszczeniu obozu przez Niemców, czyli w styczniu 1945 r. Inne umierały poza kacetem, gdy przekazywano je do ambulatoriów i szpitali na terenie Łodzi. Nie zwalnia nas to jednak z obowiązku badania tematu i upamiętniania ofiar obozu. Dla przyszłych pokoleń wiedza na ten temat wciąż będzie istotna, a od nas zależy czy zaprezentujemy ją w nowoczesny sposób oraz czy będziemy mieli pomysł na dydaktykę, w której będzie miejsce na refleksję, a nie tylko na emocję. Na myśli mam nie tylko Instytut Pamięci Narodowej, ale również Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi, Centrum Dialogu im. Marka Edelmana oraz niedawno powołaną nową placówkę, czyli Muzeum Dzieci Polskich – ofiar totalitaryzmu. To jest duży potencjał, który można wykorzystać przy budowie spójnej narracji historycznej odnośnie obozu przy ul. Przemysłowej w Łodzi.

ANI WYCHOWAWCZY, ANI PREWENCYJNY. TO BYŁ OBÓZ, GDZIE WIĘZIONO DZIECI

Wbrew nazwie nadanej przez Niemców, nie był to obóz wychowawczy, ani ochronny dla tzw. elementu aspo lecznego. Nie był to też obóz prewencyjny, jak go później nazwano w Polsce. Więziono w nim dzieci polskie, wobec których okupant niemiecki zastosował bardzo rygorystyczne prawodawstwo, a szereg ich czynów piętnował jako „kryminalne występki".

ARTUR OSSOWSKI

Niemcy określali obóz mianem Polenjugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt, akcentując jego narodowościowy charakter i wiek więźniów. Natomiast strona polska, opisując znaczenie obozu w latach 60. i 70. XX w., uwidaczniała przede wszystkim jego cel, wiek osadzonych i charakter podległości, stosując nazwę: Prewencyjny Obóz Policji Bezpieczeństwa dla Młodzieży Polskiej w Łodzi. Pamiętajmy jednak, że nie pełnił on żadnej funkcji wychowawczej, nie był również ośrodkiem prewencyjnym, ani miejscem ochronnym dla tzw. elementu aspołecznego (niem. Asoziale). Więziono w nim dzieci polskie, wobec których okupant niemiecki zastosował bardzo rygorystyczne prawodawstwo, zaś szereg czynów których się one dopuściły, piętnował określeniem „kryminalnych występków". Reasumując był to obóz izolacyjny pod kontrolą niemieckiej policji bezpieczeństwa dla polskich dzieci i młodzieży. Nie oddaje jego charakteru również określenie „obóz pracy", albowiem nie wszystkie dzieci w nim pozostające były zmuszane do pracy, niekiedy - najmniejsze z nich - po kilku tygodniach lub miesiącach przesyłano do innych ośrodków lub domów dziecka. Przykładem tego jest transport dzieci do obozu w Potulicach lub ich wysłanie do domów dziecka w Ludwikowie, Puszczykowie i Poznaniu. Stąd najmłodsze z odizolowanych dzieci nie pracowały, a nawet doświadczały pewnych przywilejów - nie uczestniczyły w porannych i wieczornych apelach. Dodatkowo otrzymywały bardziej kaloryczne wyżywienie, co wiązało się z ich „przygotowaniem" do badań w Urzędzie Rasy i Osadnictwa SS w klasztorze oo. Bernardynów przy ul. Spornej 73 (obecnie ul. Błogosławionego Alojzego Pankiewicza 5), czyli celem Niemców było wytypowanie młodych więźniów na potrzeby akcji germanizacyjnej, nie zaś uczynienie z nich przymusowych pracowników dla gospodarki III Rzeszy. Wobec tego najbezpieczniej jest używać określenie niemiecki obóz dla polskich dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi.

FOT. IPN ODDZIAŁ W ŁODZI

Dzieci, prócz tych najmłodszych, były zmuszane do pracy. Obóz miał charakter izolacyjny, ale musiał zarobić na swoje utrzymanie

W strefie getta

Obóz rozpoczął działalność z początkiem grudnia 1942 r., funkcjonując w wydzielonej z getta strefie i po kilku dniach przyjął pierwszy transport polskich dzieci. Przywożono je wysłużonymi samochodami ciężarowymi, gdy na Dworzec Łódź Kaliska docierały kolejne więzienne transporty z Wielkopolski, Kujaw i Górnego Śląska. Większość z przetransportowanych dzieci nie znało miasta i bardzo szybko traciły orientację. Nie wiedziały nawet, że wjeżdżają do strefy objętej wzmożoną ochroną i przylegającej ściśle do południowo-wschodniej części getta. Gdy przekraczały bramę główną, od strony dzisiejszej ul. Przemysłowej 27, ich szansa na ucieczkę malała niemal do zera. Dzieci zatrzymane przez niemieckie służby w Łodzi, do obozu najczęściej przeprowadzano w eskorcie policji kryminalnej.

Masywna, drewniana brama otwierała się tylko dla ruchu kołowego. Funkcjonariusze obozowi - Niemcy i volksdeutsche, jak też zatrudnieni Polacy, wchodzili bramą od strony ul. Brackiej. Sprawdzano ich na wartowni usytuowanej w pobliżu obecnej ul. Tadeusza Mostowskiego. Po upływie kolejnych miesięcy funkcjonowania obozu, do tegoż budynku wpuszczano również rodziców i opiekunów prawnych uwięzionych dzieci, by mogli zamienić kilka słów z osadzonym lub osadzoną i przekazać paczkę. Niestety jej zawartość najczęściej była przejmowana przez wartowników, a do dziecka trafiała niewielka część. Od lata 1944 r. wypuszczano tędy również zwolnione dzieci z obozu, gdy ich rodzice podpisali volkslistę lub zmieniano status więźnia, nadając mu kategorię tzw. robotnika przymusowego.

Niekiedy więzień - po ukończeniu szesnastego roku życia - był przekazywany do innych ośrodków odosobnienia, co potwierdzają relacje i zeznania osadzonych przy ul. Przemysłowej. Dlatego można wymienić m.in. obóz pracy w Żabikowie oraz obóz w Potulicach, z którym utrzymywano stałą komunikację, przewożąc pomiędzy placówkami także młodsze dzieci. Kolejnym ośrodkiem, gdzie odseparowywano wyłącznie więźniarki był brandenburski obóz koncentracyjny dla kobiet w Ravensbrück oraz usytuowany w jego pobliżu obóz pracy dla dziewcząt w Uckermark.

W przypadku jednak łódzkiego obozu, okresowo trafiały do niego również dzieci kilkumiesięczne oraz kilkuletnie, a segregacja pod względem płci została wprowadzona dopiero w kwietniu 1943 r. Wówczas wydzielono podobóz dla więźniarek i usytuowano go w prostokącie - od ul. Emilii Plater po ul. Tadeusza Mostowskiego, co odpowiadało 25-30 proc. powierzchni kacetu przy ul. Przemysłowej. Przekładało się to na liczbę więźniarek, gdyż w obozie nie było ich więcej aniżeli 350, a z tej liczby należy jeszcze oddzielić grupę ok. 150 dziewcząt, odesłanych do filii rolnej obozu w miejscowości Dzierżązna.

Bo jechał bez biletu

Dlatego w transportach do obozu dominują głównie chłopcy w różnym wieku, to jednak nie oznacza, że nie było grup żeńskich. Reprezentatywnym przykładem może być przypadek młodocianych Polek z Jaworzna, które fałszowały karty żywnościowe i kradły wiktuały ze sklepów w Katowicach oraz Bytomiu. Niemcy uznali ich czyny za „szczególnie niebezpieczne" dla ustanowionego porządku prawno-administracyjnego III Rzeszy, albowiem były „zuchwałe i przewodząc młodszym dzieciom, stworzyły zorganizowaną szajkę". Zarzuty były poważne, ale pamiętajmy, że Niemcy w ogóle nie dociekali przyczyn postępowania polskich dzieci. Nie widzieli korelacji wynikającej ze zniszczenia polskiej państwowości, drakońskiej okupacji oraz bardzo szybkiej pauperyzacji podbitej ludności. W kategoriach przestępstwa rozpatrywali również żebractwo, włóczęgostwo, a nawet jazdę tramwajem bez biletu.

Wszystkie wymienione „przestępstwa" dotyczyły m.in. dzieci złapanych na ulicach Łodzi, Pabianic oraz Zgierza. Do obozu jednak nie zawsze trafiały dzieci zaniedbane i umęczone pobytem w więzieniach dla dorosłych. Nierzadko jedyną ich winą było trwanie przy wierze rodziców, czego boleśnie doświadczyły osoby przynależące do Chrześcijańskiego Zboru Świadków Jehowy. Kolejnym czynnikiem determinującym ich los była odmowa przyjęcia obywatelstwa niemieckiego i udział rodziców lub starszego rodzeństwa w ruchu oporu. Należy jednak podkreślić, że wyżej wymienione kategorie przestępstw nie dominowały wśród osadzonych. Kartoteki więzienne najczęściej odnotowywały pospolite występki, które niemiecki wymiar sprawiedliwości karał z całą surowością, tym bardziej gdy dotyczyło to polskiego dziecka. Należy o tym pamiętać, gdyż po wojnie wielu byłych więźniów czuło zażenowanie, gdy musiało podać powód osadzenia, którym nierzadko była kradzież jedzenia.

Obóz funkcjonował przez 25 miesięcy i wiele dzieci pozostawało w nim przez bardzo długi okres. Niejednokrotnie nie znały przyczyny zesłania, ani nie wiedziały kiedy zostaną wypuszczone. Gehenna zaczynała się wraz ujęciem, po nim następowało nierzadko bicie. Później długie miesiące oczekiwania w areszcie lub w więzieniu w otoczeniu dorosłych, których do przepełnionych cel wnoszono najczęściej zmaltretowanych po przesłuchaniach. Następnie przejazd więziennym wagonem do miejsca docelowego, co możemy uznać za początek obozowej historii. Po przekroczeniu bramy i rozładowaniu transportu, dzieci ustawiano najczęściej w sąsiedztwie budynku przy ul. Przemysłowej 34, gdzie mie-

ściła się komendantura obozu. W domu, który przetrwał do dziś, rezydowali Hans Heinrich Fuge, Arno Wruck, Erlich Enders oraz okresowo kontrolujący ich działania szef niemieckiej policji kryminalnej w Łodzi (od grudnia 1941 r.) SS-Sturmbannführe Karl Ehrlich. Pozostawał on w ścisłym kontakcie z inspektorem Ottonem Grunow z łódzkiego Gestapo, ponieważ placówkę okresowo kontrolowali funkcjonariusze tajnej policji rezydujący przy al. Karola Anstadta 7.

Po wstępnym apelu, gdzie zapoznawano nowo przybyłych z regulaminem oraz przestrzegano przed karami za niesubordynację, próbę ucieczki i brak postępów w pracy, wydawano obozowe ubrania. Chłopcy otrzymywali rozpinane szare bluzy, spodnie oraz furażerki ze zgrzebnego materiału. Dziewczęta musiały się przyodziać w sukienkę z podobnej tkaniny i zamiast spodni otrzymywały jedną parę rajstop lub długich skarpet. Na nogach dzieci nosiły drewniaki, choć w przypadku młodszych dopuszczano, aby pozostawały w odzieży i butach, w których przybyły do obozu. Wiosną 1944 r. zaprzestano szycia ubrań obozowych i więźniowie coraz częściej nosili cywilne ubrania, wydawane z magazynów po innych dzieciach. Widać to na nielicznych ocalałych zdjęciach archiwalnych przedstawiających zbiórkę więźniów m.in. na apelu. Starsi więźniowie prezentują się w obowiązujących uniformach, zaś młodsi odziani są w różnorodne łachmany. Podobnie wyglądają więźniarki, choć ich strój jest bardziej ujednolicony.

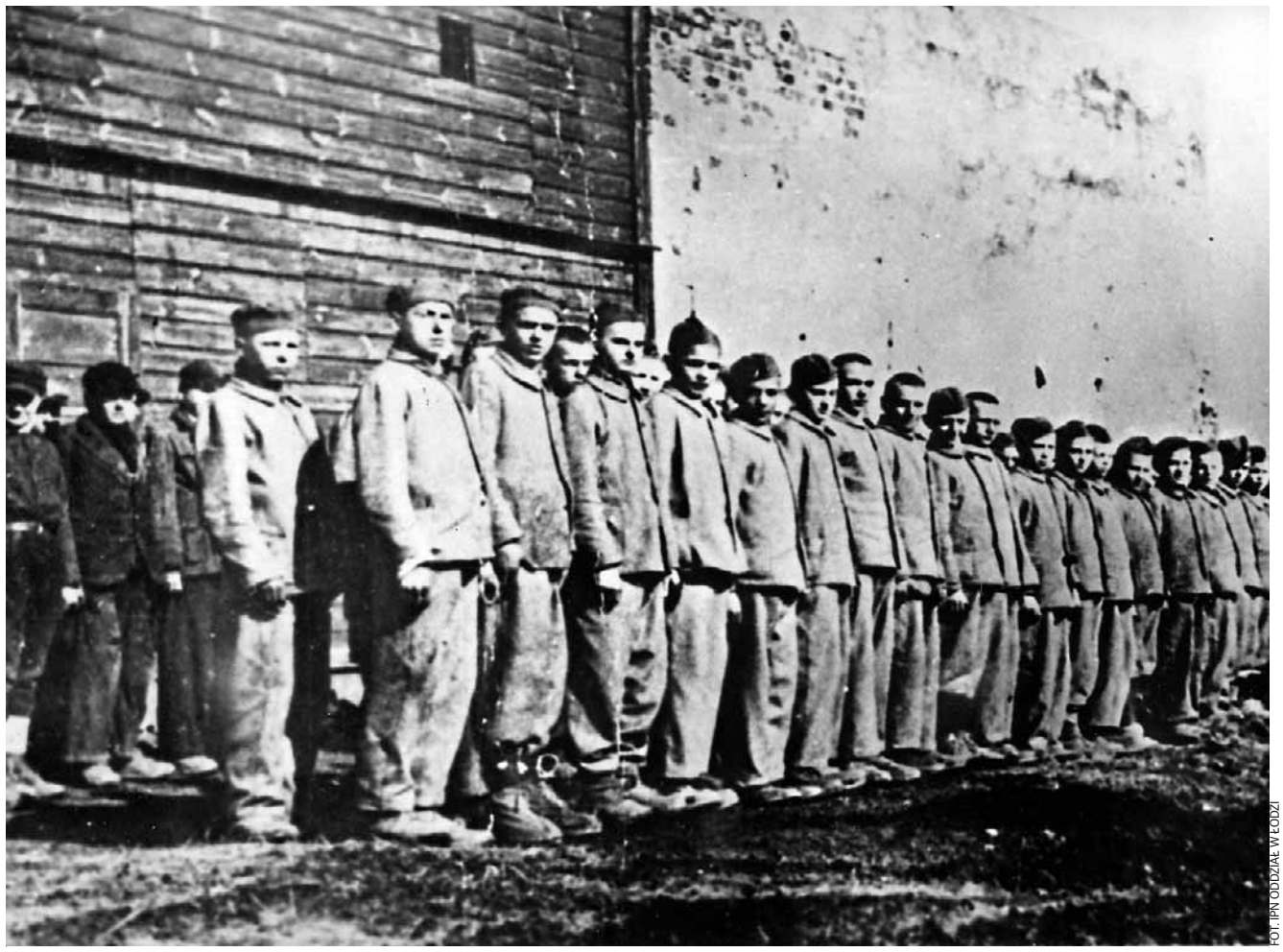

FOT. IPN ODDZIAŁ W ŁODZI

Do 1944 roku więźniom wydawano obozowe ubrania, później tego zaniechano. Różnicę między grupami widać na zdjęciu

Zdjęcie, numer, odcisk palca

Następnie przyodzianym dzieciom wykonywano policyjne fotografie sygnalityczne w trzech pozach, czyli uwieczniano na kliszy ich prawy profil, en face (widok twarzy z przodu bez nakrycia głowy) i profil lewy z nakryciem głowy. Śledczym zależało na uchwyceniu obrazu twarzy, szyi i ramion, a w tym pomagało im odpowiednio skonstruowane krzesło z wysoką podpórką na głowę. Zdjęcia odzwierciedlające metodą antropometrii kryminalnej według zaleceń Alphonsa Bertillon, opatrzone zostały nawet numerami nadanymi więźniom oraz datą ich zarejestrowania. Do kartoteki kryminalnej pobierano również odciski palców, co potwierdza istnienie pracowni daktyloskopijnej oraz atelier fotograficznego. W niektórych jednak przypadkach do poobozowych zbiorów ikonograficznych, dołączone są fotografie małoletnich więźniów wykonane w innych miejscach odosobnienia i one wyraźnie różnią się od tych z łódzkiego obozu.

Po zarejestrowaniu i ostrzyżeniu, poddawano nowo przybyłe dzieci kwarantannie, a po jej odbyciu kierowano do poszczególnych obozowych budynków. Ogółem wykorzystano na potrzeby obozu 35 budynków i baraków, z których jedynie dziesięć pełniło funkcję mieszkalną. Prawdopodobnie pięć drewnianych baraków wzniesiono w 1943 r., lecz nie we wszystkich nocowali więźniowie. Od stycznia 1944 r., wraz z rozszerzeniem się epidemii tyfusu, przekształcono jeden z nich w ambulatorium dla kadry obozowej, a dwa kolejne zamieniono na warsztaty. Lokując w nich szwalnię oraz tzw. nową iglarnię, gdzie prostowano igły do maszyn szwalniczych. Do tego jeszcze wzniesiono kilka komórek gospodarczych, magazyny, garaże, szklarnie i latryny.

Celem podstawowym była jednak organizacja produkcji, stąd w budynkach, gdzie stłaczano na noc więźniów, wydzielano dodatkowe pomieszczenia warsztatowe. W ten sposób funkcjonowała m.in. kolejna „iglarnia" usytuowana w dużym murowanym budynku, z charakterystyczną wysunięta klatką schodową, co uwieczniono na fotografii. Przedstawia ona prawdopodobnie zbiórkę chłopców, którzy stoją frontem do wizytującej obóz komisji. Natomiast na „łapciarnię", gdzie wyplatano słomiane warkocze i zszywano je w nieforemne buty, wysyłane następnie do jednostek niemieckich walczących na froncie wschodnim, zaadaptowano niski i niewielki budynek drewniany. Pracownię wikliniarską, w której wyplatano kosze na amunicję, również usytuowano w drewnianym budynku w kształcie litery „L". W ten sposób rozdzielono pracę więźniom, choć część z nich odesłano do obieralni ziemniaków oraz do oporządzania świń, królików oraz do pomocy w stajni. Była także grupa chłopców pracująca w warsztacie elektrycznym. Natomiast inni więźniowie dostarczali wodę na potrzeby obozowej pralni i łaźni. Należała do nich obsługa dwukołowej pompy, która znajdowała się na terenie podobozu dla dziewcząt.

W karnej kompanii

Najgorsze jednak zadania mieli do wykonania więźniowie, którzy zostali skierowani do tzw. karnej kompanii. Dla nich zarezerwowano jeden z baraków przylegających do szwalni. Chłopców oznaczono czerwonym pasem na ubraniu, na prawej ręce i prawej nodze. Wszystkie czynności musieli wykonywać w biegu, a do ich zadań należało czyszczenie latryn, ubijanie obozowych alei i smołowanie dachów. Zawsze wykonywali dodatkowe prace po godz. 18 i nie spali na siennikach, lecz na gołych deskach. Mieli również stały kontakt opresyjnymi nadzorcami, do których należy zaliczyć m.in. volksdeutscha Edwarda Augusta (stracony w 1946 r.) oraz Polaka Józefa Stankiewicza (zmarł w 1971 r.).

Więźniarki nierzadko wykonywały te same czynności co więźniowie, prostowały igły szwalnicze oraz skręcały słomę w długie warkocze, ale dodatkowo cerowały wojskową bieliznę. Praca w kuchni oraz w pralni też była ich podstawowym zajęciem. Do tego wyrabianie kwiatów z papieru, klejenie toreb, szydełkowanie i przede wszystkim skierowanie do majątku rolnego w miejscowość Dzierżązna. Niekiedy więźniarki otrzymywały zadanie posprzątania biur w prezydium policji kryminalnej przy ul. Jana Kilińskiego 152, ale po ucieczce stąd jednego z więźniów obozu, który pełnił rolę gońca, zaniechano tych praktyk. Stąd jedyną z alternatyw opuszczenia głównego obozu przez dziewczęta było dostanie się do tzw. grupy rolnej. Do niej jednak typowano więźniarki rosłe i silne, najczęściej w wieku ok. 14 lat. Należy jednak pamiętać, że dziewczęta odizolowane w obozie przy ul. Przemysłowej również stały się ofiarami zbrodniczych zachowań. Głównymi sprawczyniami ich cierpienia były nadzorczynie, które przyjęły obywatelstwo niemieckie, starsza - Sydonia (Izolda) Bayer (stracona w 1945 r.) oraz Genowefa Pohl vel Eugenia Pol (skazana na 25 lat więzienia).

Osadzone dzieci wykonywały przydzieloną pracę w stresie, poświęcając na nią 10-12 godzin. Osoby, które nie wykonały normy, miały przedłużoną roboczodniówkę i w przypadku kolejnych uchybień groziły im kary w postaci obniżenia racji żywnościowych, czy też mogły trafić do karceru lub do tzw. karnej kompanii. Pracowały w bardzo złych warunkach, często były bite, głodzone i poniżane przez nadzorujący je personel. Stąd liczne rany cięte i stłuczenia, które łatwo ulegały zabrudzeniu. Dotyczyło to również oczu, gdyż dostawały się do nich olej i opiłki metalu. Jednak najgorszym utrapieniem były choroby, stając się główną przyczyną zgonów w obozie. Potwierdzali to dwaj lekarze, którzy nieśli pomoc uwięzionym, czyli Leon Urbański oraz Emil Vogel. Pierwszy z nich był Polakiem zwolnionym z Gestapo i do obozowego ambulatorium trafił jako internista, aby jedynie dwa razy w tygodniu doglądał dzieci. Lekarz jednak stale był pod niemiecką kontrolą i nigdy nie pozostawał sam na sam z więźniami, nie miał kontaktów z najciężej chorymi lub pobitymi. Wspominał jednak o śladach maltretowania na ciele badanych, o jaglicy, zapaleniu płuc, błonicy, świerzbie i o tyfusie. Z tą zakaźną chorobą walczył drugi z lekarzy, który był czeskim Żydem i to on skutecznie opanował ogniska choroby, kierując pacjentów do szpitala zakaźnego w getcie przy ul. Dworskiej 74 (obecnie ul. Wolność i Niezawisłość). Vogel przebywał w ściśle odizolowanym obozie od grudnia 1943 r. do maja 1944 r., gdy nie przychodziły do niego żadne transporty, a sama kadra też została objęta kwarantanną. Owe pięć miesięcy funkcjonowania obozu jest istotne, gdyż nie zmieniały się wówczas stany obozowe i w tym okresie doszło do zabójstw kilkorga więźniów, co potwierdzają m.in. relacje ocalałych i zeznania w trakcie procesu przeciwko Pol. Należy również wspomnieć, że wiosną 1944 r. w podobozie dla dziewcząt uruchomiono łaźnię dla więźniów, co miało poprawić katastrofalne warunki higieniczne. Do użytku oddano również pralnię i nakazano wymianę więziennej odzieży. W większości jednak przypadków zalecenie nie było respektowane przez władze obozowe, zaś skąpe i mało kaloryczne racje żywnościowe nie mogły wzmocnić osłabionych i chorych więźniów.

Ciała zmarłych dzieci wywożono przeważnie nocą przez bramę od strony ul. Górniczej, która była usytuowana na linii ul. Przemysłowej i łączyła obóz z gettem. Z niej też korzystał żydowski personel techniczny. Początkowo używano konnego furgonu, a następnie wykorzystywano ciężarówkę. Miejscem pochówku był cmentarz rzymskokatolicki pod wezwaniem św. Wojciecha przy ul. Kurczaki 81 w Łodzi.

Mało natomiast znaną historią jest próba pozyskania informacji o obozie przez miejscowe struktury Armii Krajowej. Zadanie zlecił komendant m. Łodzi kpt. Jan Łoś „Baca", który- z początkiem 1943 r. - uruchomił w tym celu komórkę wywiadowczą Jan Kubiaka „Kuby". Dokładne raporty od okolicznych mieszkańców zbierał por. Edmund Krauze „Mundek", który akcji nadał krypt. Plac na Przemysłowej. Niestety już 4 sierpnia 1943 r. nastąpiło zahamowanie pracy wywiadowczej na tym odcinku, ponieważ miejscowe Gestapo aresztowało Kubiaka i jego obowiązki był zmuszony przejąć Zygmunt Pawlikowski „Aldera". Jednak do tego czasu zweryfikowano informację, że jednorazowy stan obozu nie przekracza ok. 1,5 tys. aresztowanych dzieci, z których ok. 200 to dziewczęta znajdujące się w wydzielonej strefie obozowej. Zwrócono również uwagę, że wobec więźniów stosowana jest przemoc fizyczna. Dzieci nie mają dostępu do odpowiedniej odzieży, są niedożywione, zestresowane i chorują m.in. na tyfus. Ostatnie informacje pochodzą ze stycznia 1945 r. i według nich Niemcy przygotowywali się do likwidacji obozu, niszcząc jego dokumentację oraz ustawiając beczki z benzyną w bezpośrednim sąsiedztwie baraków i obozowych budynków. Na szczęście nie zrealizowali swych zbrodniczych planów i 18 stycznia 1945 r. opuścili obóz, uciekając przez zbliżającą się do Łodzi Armią Czerwoną.

Autor jest naczelnikiem Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Oddział w Łodzi

PLAN OBOZU

Pozostałości obozu dla dzieci na fotografii lotniczej wykonanej w 1949 r.

FOT. CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

REKONSTRUKCJA PLANU OBOZU DLA DZ

Obóz rozpoczął działalność w grudniu 1942 r., gdy prace budowlane wciąż trwały na pięciohektarowej działce wyłączonej z łódzkiego getta. Miał pomieścić ok. 1,8 tys. polskich dzieci. Nigdy jednak nie osiągnął tych stanów, ponieważ wiosną 1944 r. zarejestrowano ok. 1400 więźniów, w tym przeszło setkę więźniarek przetrzymywanych w filii rolnej obozu w Dzierżąznej nieopodal Zgierza. Dzień przed wkroczeniem do miasta Armii Czerwonej – 18 stycznia 1945 r. – obóz opuścili strażnicy, pozostawiając w barakach i budynkach ok. 900 wynędzniałych więźniów. Dziś poobozowy teren zajmują czteropiętrowe bloki, ale dzięki zrekonstruowanemu cyfrowo – przez Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi – planowi autorstwa Józefa Witkowskiego z akt procesowych przeciwko Eugenii Pol, możemy odtworzyć jego przestrzeń. Dodajemy również fotografię lotniczą z Centralnego Archiwum Wojskowego, aby przedstawić stan poobozowych obiektów cztery lata po zakończeniu wojny.

A – brama główna od ul. Przemysłowej, tędy wjeżdżały transporty z nowo przybyłymi więźniami.
B – brama dla personelu (Niemców, volksdeutschów, Polaków) od ul. Brackiej.
C – brama dla żydowskiego personelu pomocniczego, łącząca obóz z gettem od ul. Górniczej.
D – brama wewnętrzna, łącząca podobóz dla dziewcząt ze strefą wydzieloną dla chłopców od ul. Tadeusza Mostowskiego.
E – przed wojną ul. Przemysłowa dochodziła do ul. Brackiej, następnie została przedłużona i pełniła rolę obozowej alei.
G – ul. Bracka, wzdłuż niej przebiegało ogrodzenie oraz na nią wychodziły dwie obozowe bramy.
H – zwieńczone drutem kolczastym ogrodzenie ze spasowanych desek wysokości ok. 3 m, widok od strony ul. Górniczej.
I – podobne ogrodzenie od strony ul. Emilii Plater.
K – ogrodzenie od strony ul. Brackiej, zbudowane z tych samych materiałów, co dwa poprzednie i w ten sam sposób zabezpieczone.
L – mur wzniesiony prawdopodobnie z betonowych bloczków, przebiegał wzdłuż części ul. Tadeusza Mostowskiego i oddzielał podobóz dla dziewcząt od pozostałej części obozu, gdzie przetrzymywano chłopców.
M – mur ceglany oddzielający obóz od cmentarza żydowskiego. Ogrodzenie zostało podwyższone do ok. 2,5 m i zwieńczone wcementowanymi potłuczonymi butelkami. W latach 50. XX w. cmentarz żydowski pomniejszono i w jego części wytyczono ul. Zagajnikową.
W – cztery drewniane wieże strażnice wyposażone w reflektory i usytuowane w narożnikach obozu.
1 – zbudowany w 1944 r. schron dla obozowej załogi.
2 – magazyn warzyw dla kadry obozowej.
3 – stołówka dla kadry obozowej.
4 – karcer dla więźniów.
5 – ślusarnia, następnie warsztat elektryczny.
6, 7, 8 – inspekty i szklarnia.
9 – magazyn narzędzi ogrodniczych.
10 – murowany budynek dla więźniów (Haus VI), następnie magazyn.
11 – smolarnia.
12 – więzienny barak, a od 1944 r. ambulatorium dla kadry obozowej.
13 – drewniany budynek wielorodzinny, na parterze magazyn pościeli i odzieży, zaś na poddaszu pracownia daktyloskopijna oraz atelier fotograficzne. W przybudówce izolatka dla dzieci chorych na świerzb (niem. krätze), stąd potoczna nazwa obiektu „kreca".
14, 18,45 – królikarnie.
15 – chlewnia.
16 – drewniany budynek nazywany przez więźniów „łapciarnią", wyplatano w nim słomiane warkocze i zszywano je w nieforemne buty ochronne dla niemieckich wartowników.
17 – warsztat szewski, a od 1944 r. pracownia wikliniarska. Wyrabiano w niej m.in. kosze na amunicję oraz maty będące podkładami dla grzęznących w błocie i śniegu samochodów wojskowych.
19 – stajnia.
20 – istniejący do dziś murowany budynek w kształcie rombu (Haus V), w nim nowo przybyli więźniowie odbywali kwarantannę.
21, 39, 53 – latryny.
22 – kostnica.
23 – magazyn odzieży i blaszanych naczyń, pod schodami pracownia naprawcza drewnianych chodaków, na strychu depozyt przedmiotów zabranych nowo przybyłym więźniom.
24 – początkowo obozowa stołówka, następnie pracownia rymarska, a od 1944 r. warsztat szewski.
25 – drewniany budynek wielorodzinny (Haus VIII), niewykorzystywany z powodu złego stanu technicznego, następnie zamieniony na izolatkę dla dzieci moczących się z powodu stresu lub chorób układu moczowego.
26 – magazyn narzędzi.
27 – magazyn warzyw.
28 – kwatermistrzostwo, skład żywności, szwalnia bielizny obozowej, pracownia reparacji mundurów, warsztat szewski.
29 – budka trębacza.
30 – ambulatorium dla więźniów, obok pomieszczenie dla obozowego fryzjera.
31 – istniejący do dziś budynek dawnej komendantury.
32 – obozowa kuchnia.
33, 44 – śmietniki.
34 – obieralnia ziemniaków.
34a – poczta.
35a – murowany budynek o nieustalonym przeznaczeniu, usytuowany w sąsiedztwie obozowej bramy zewnętrznej.
35 – od grudnia 1942 r. do kwietnia 1943 r. w budynku umieszczano nowo przybyłych więźniów odbywających kwarantannę. Mieściła się w nim również izolatka dla chorych chłopców. Wraz z powstaniem podobozu dla dziewcząt – wiosną 1943 r. – budynek zmienił swój dotychczasowy charakter, na miejsce odosobnienia dla germanizowanych dzieci do ósmego roku życia.
36 – przebudowany w sierpniu 1943 r. budynek (Haus II), w którym umieszczono kilkadziesiąt dzieci z podpoznańskiej miejscowości Mosina.
37 – stołówka dla przetrzymywanych w budynku nr 35, a następnie miejsce odosobnienia dla germanizowanych dzieci. Jedno z pomieszczeń zaadaptowano dla więźniarek mających problemy zdrowotne z pęcherzem moczowym. Od 1944 r. urządzono w budynku dodatkową pracownię wyrobu sztucznych kwiatów, klejenia toreb papierowych oraz prostowania igieł tkackich tzw. iglarnię.
38 – warsztat wyrobu sztucznych kwiatów, klejenia torebek i prostowania igieł tkackich.
40 – budynek murowany z czterema izbami więziennymi (Haus VII). Na dole znajdowało się pomieszczenie dla nadzorczyni, a na górze przy dwóch izbach więziennych usytuowano pokój tzw. więźniarek funkcyjnych.
41 – murowany budynek wielorodzinny, niegdyś fabryka cukierków. Od stycznia 1944 r., kiedy w obozie trwała epidemia tyfusu, w budynku odkażano odzież oraz urządzono łaźnię i pralnię.
42 – budynek pełnił rolę izolatki dla chorych więźniarek oraz najmłodszych dzieci obojga płci z budynków nr 35 i nr 36.
43 – stołówka w podobozie dla dziewcząt.
46 – wzniesiony wiosną 1943 r. barak z gotowych elementów, przetrzymywano w nim więźniów, następnie zamieniono go na warsztat rymarski.
47 – kolejny barak wykonany w tym samym okresie, co sąsiadujący z nim obiekt nr 46. Chłopcy pracowali w tzw. nowej łapciarni, gdyż wcześniejszy z warsztatów umieszczono w budynku nr 16. Obydwa baraki w nomenklaturze obozowej traktowano, jako jeden obiekt i określano je mianem „barak III".
48 – miejsce odosobnienia więźniów z tzw. karnej kompanii („Haus III"). W budynku przetrzymywano po kilkudziesięciu chłopców. Łatwo było ich rozpoznać, ponieważ na plecach drelichowej bluzy malowano im czerwoną farbą krzyż lub pionowy pas, a nogawki spodni oznaczano czerwoną obwódką.
49 – dwupiętrowy murowany budynek wielorodzinny z charakterystyczną wysuniętą klatką schodową. Na parterze mieściły się trzy duże sale dla osadzonych. Na pierwszym piętrze warsztat, gdzie prostowano igły tkackie tzw. iglarnia oraz kolejna sala dla więźniów. Na drugim piętrze wydzielono kilka pomieszczeń dla strażników niemieckich oraz zatrudnionych w obozie Polaków (nadzorców i majstrów). Po zakończeniu okupacji niemieckiej w Łodzi (19 stycznia 1945 r.) w budynku pozostali byli więźniowie, którzy nie opuścili terenu obozu i stąd zabrano ich do Miejskiego Pogotowia Opiekuńczego przy ul. Kopernika 55 w Łodzi.
50 – drewniany barak zbudowany wiosną 1943 r. z gotowych elementów z pięcioma salami więziennymi oraz wejściem usytuowanym od strony baraków nr 46 i 47. W nomenklaturze obozowej obiekt funkcjonował jako „Haus X", zaś więźniowie nazywali go „barakiem II".
51 – kolejny barak, wzniesiony na wzór obiektu nr 50, z wejście po przeciwnej stronie i określany jako „Haus IX". Natomiast więźniowie nazywali go „barakiem I".
52 – magazyn opałowy.
54 – drewniany budynek wielorodzinny na podmurówce ceglanej z wyburzonymi ścianami działowymi, by stworzyć cztery sale więzienne („Haus I"). Obiekt – jako pierwszy – został zaadoptowany na potrzeby obozu.

ZIECI PRZY UL. PRZEMYSŁOWEJ W ŁODZI

EUGENIA POL I JEJ PROCES. OD OPIEKUNKI DO GŁÓWNEJ OSKARŻONEJ

Po zakończeniu II wojny światowej pamięć o niemieckim obozie dla polskich dzieci przy ul. Przemysłowej zaczęła słabnąć, a niemal wszystkie pozostałości po nim uległy zniszczeniu. Nie zapomniano jednak o kluczowej postaci dla historii obozu – nadzorczyni Eugenii Pol.

ARTUR OSSOWSKI

W maju 1971 r. rozpowszechniano pogłoskę, że Pol została zatrzymana na ulicy lub nawet przy niedawno odsłoniętym Pomniku Martyrologii Dzieci, który łodzianie nazywają „Pękniętym sercem". Była to nieprawda, ponieważ podejrzana o zbrodnie na polskich dzieciach od pięciu miesięcy przebywała w areszcie. Śledztwo w jej sprawie Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich (OKBZH) w Łodzi wszczęła w lipcu 1970 r. Sądzono ją w latach 1972–1975 i za zbrodnie na nieletnich obywatelach państwa polskiego skazano na 25 lat więzienia. Wyszła na wolność w 1989 r. i powróciła do Łodzi, gdzie zmarła w samotności oraz bezdzietnie. Do winy nigdy się nie przyznała, choć według sądu należała do najbliższych współpracowników Sydoni (Izoldy) Bayer.

Pod uwagę nie powinniśmy brać wyłącznie jej odczuć, ponieważ ocenie historycznej podlegają przede wszystkim materiały archiwalne, a nimi przez lata zarządzała Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich (GKBZH) w Polsce. Z czasem jej zasoby przejęła Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu (KŚZpNP), która jest częścią Instytutu Pamięci Narodowej (IPN). Po zamknięciu śledztwa akta procesowe Pol zostały przekazane do zakładowego archiwum, gdzie nadano im nowe sygnatury, opisano i spaginowano. Obecnie najważniejsze materiały związane ze śledztwem przeciwko byłej obozowej nadzorczyni wyodrębniono w 28 tomach akt. Przegrano również na cyfrowe nośniki nagrania z procesu z 1974 r. Niestety ścieżka dźwiękowa jest mocno zniekształcona, co utrudnia ich odsłuchanie, ale nie jest to niemożliwe i do tego przywołanego źródła odwołuję się także w niniejszym artykule. Opisując przypadek Pol, rzucam jednocześnie światło na funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (PRL).

Przedstawiając złożoność owej sytuacji, należy przede wszystkim odpowiedzieć na podstawowe pytania: ile dzieci przeszło przez obóz, jaka była w nim śmiertelność i kogo zabiła oskarżona? Były to zagadnienia, które nurtowały nie tylko prokuratorów, sędziów i procesowych ekspertów, ale także dziennikarzy. Osób, które wpłynęły na sformułowanie aktu oskarżenia i doprowadziły w sposób pośredni do skazania Pol na 25 lat więzienia było jednak znacznie więcej. Do nich z pewnością należeli trzej autorzy książek o obozie: Wiesław Jażdżyński (Reportaż z pustego pola, Łódź 1965), Tadeusz Raźniewski (Chcę żyć, Łódź 1971) oraz Józef Witkowski (Hitlerowski obóz koncentracyjny dla małoletnich w Łodzi, Wrocław 1975).

Twarz anioła

Oczywiście wymienione publikacje nie były jedynymi nośnikami informacji na temat oskarżonej, ale stanowiły podstawowe źródło wiedzy dla osób śledzących przebieg procesu i kształtujących swoje poglądy odnośnie jej postępowania w obozie. W 1970 r. Wytwórnia Filmów Dokumentalnych (WFD) w Warszawie oddała do rozpowszechnienia w telewizji publicznej oraz szkołach reportaż historyczny „Obóz na Przemysłowej". W dziewiętnastominutowym materiale wyeksponowano przede wszystkim cierpienia dzieci z podpoznańskiej Mosiny oraz wspomniano ich nadzorczynię Pol. Liczbę więźniów obozu oszacowano wówczas na ok. 10 tys. Materiał archiwalny wykorzystany w filmie pochodził ze zbiorów – istniejącej od marca 1965 r. – GKBZH w Polsce oraz był w dyspozycji wspomnianego już Witkowskiego, informującego od 1969 r. prokuraturę o bezkarności Pol i nagłaśniającego w prasie historię obozu.

Rok później powstał czarno-biały film fabularny „Twarz anioła" z dialogami poety Stanisława Grochowiaka. W prologu do filmu pojawiła się – podobnie jak w książce Jażdżyńskiego – informacja o 12 tys. więźniów obozu, z których przeżyło jedynie 800. Autorem scenariusza filmowego i zdjęć był pabianiczanin Stanisław Loth. Konsultantem został, wzmiankowany już przeze mnie, były więzień obozu Raźniewski, którego wspomnienia wydano drukiem kilka miesięcy wcześniej. Autor książki udzielał rad aktorom oraz scenarzystom, zaś w latach 1972–1975 uczestniczył w procesie przeciwko Pol.

FOT. IPN ODDZIAŁ W ŁODZI

Mali więźniowie obozu przy ul. Przemysłowej i ich nadzorczyni Eugenia Pol

Warto nadmienić, że filmem „Twarz anioła" zainteresował się nawet ambasador USA w Polsce, Walter Stoessel, który w lutym 1970 r. odwiedził Łódź i pojawił się na planie zdjęciowym w Wytwórni Filmów Fabularnych (WFF). Dyplomata rozmawiał z aktorami i oglądał scenografię, co odnotowała w swych raportach Służba Bezpieczeństwa (SB). Wpływowemu Amerykaninowi towarzyszył dyrektor WFF Wiktor Budzyński, a ich spotkanie i rozmowy z aktorami utrwalił na zdjęciach Jerzy Troszczyński. Dlatego pilnym krokiem polskich władz komunistycznych było „uwiarygodnienie" głoszonych liczb i ich opublikowanie w naukowych opracowaniach oraz materiałach edukacyjnych w postaci broszur oraz wystaw. Nie było to jednak łatwe zadanie, a jego wykonanie powierzono GKBZH w Polsce i jej terenowym odpowiednikom, przede wszystkim łódzkim pracownikom pod kierownictwem przewodniczącego Jana Przybylskiego, zastąpionego następnie przez prokuratora wojewódzkiego dla miasta Łodzi Aleksandra Wodnego, który od 1968 r. wraz z Tatianą Kozłowicz wydawał zaświadczenia o pobycie w obozie przy ul. Przemysłowej. Po czterech latach jego obowiązki przejął prezes Sądu Wojewódzkiego w Łodzi, Jerzy Gawroński. Bez ich nadzoru proces byłej obozowej nadzorczyni nie doszedłby do skutku.

Presja na oskarżającego Pol wiceprokuratora Zbigniewa Piechotę, który od marca 1960 r. pracował w wojewódzkiej prokuraturze, była bardzo duża. Informacje na temat łódzkiego obozu funkcjonowały już przecież w kilku publikacjach i zostały nagłośnione w prasie codziennej. W latach 1968–1969 kilkakrotnie przesłuchiwano także Pol. Sprawę początkowo prowadził oddelegowany do OKBZH w Łodzi wiceprokurator Wiktor Klimczak, który już w czerwcu 1967 r. zapoznał się z aktami przełożonej Pol – Sydoni (Izoldy) Bayer, funkcjonariuszki osądzonej w Łodzi i straconej w listopadzie 1945 r. Zebrano nawet zeznania od kilkunastu świadków – więźniów obozu, którzy wzmiankowali o Pol jako okrutnej nadzorczyni i nie zgadzali się z opublikowaną w książce opinią Jażdżyńskiego, że była ona „troskliwą obozową kucharką".

Ostatecznie Milicja Obywatelska zatrzymała ją 11 grudnia 1970 r. pod zarzutem zbrodni zabójstwa w obozie i przeszukała jej mieszkanie. Następnego dnia do Dyrektora Biura Śledczego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie wpłynął, od I Zastępcy Komendanta Miejskiego MO do spraw SB w Łodzi płk. Henryka Bilskiego, tajny meldunek specjalny o jej ujęciu. Sprawy nie można już było odwlekać, ponieważ w tym samym roku ukazał się dokument „Obóz na Przemysłowej", a film fabularny „Twarz anioła" czekał na premierę. Zaplanowano ją na 20 stycznia 1971 r., niemal w kolejną rocznicę wyparcia z miasta okupanta niemieckiego przez Armię Czerwoną. Dodatkowo 9 maja 1971 r., kiedy świętowano „Dzień Zwycięstwa nad Faszyzmem", odsłonięto w Łodzi na Bałutach Pomnik Martyrologii Dzieci. Do kilku tysięcy zgromadzonych pod pomnikiem osób przemawiał wicepremier i kierownik Wydziału Kultury Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR) Wincenty Kraśko, jednak w centrum uwagi pozostawali przede wszystkim byli więźniowie, jak też uczniowie z pobliskiej Szkoły Podstawowej nr 81 im. Bohaterskich Dzieci Łodzi. W ich placówce od kilku już lat eksponowano pamiątki po obozie, odbitki oryginalnych zdjęć, fotokopie dokumentów oraz jego makietę.

Pohl i Pol

Kim była jednak podejrzana Genowefa Pohl? Urodziła się 23 lutego 1923 r. w Ozorkowie jako drugie dziecko Jana Pohla oraz Janiny Wróblewskiej. Po wojnie posługiwała się spolszczoną formą nazwiska Pol i używała imienia Eugenia, co potwierdziła Komenda Dzielnicowa MO Łódź-Chojny uznając, że do zmiany doszło w 1957 r. Nowe personalia widnieją już jednak na jej legitymacji Kursu Handlowo-Spółdzielczego w Łodzi na rok szkolny 1945/1946. Zapewne przekształcenie zapisu jej danych osobowych nastąpiło wcześniej, już w Rejonowej Komendzie Uzupełnień Łódź-Miasto, gdzie zarejestrowano ją 5 czerwca 1945 r., już jako Eugenię Polównę – ochotniczkę do wojska.

Było to bardzo zręczne posunięcie zważywszy, że osoby odstępujące od polskiej narodowości i przyjmujące w okresie wojny niemieckie obywatelstwo podlegały nierzadko karze więzienia, a nawet mogły zostać skazane na karę śmierci. Orzeczenia w ich sprawie ferował Specjalny Sąd Karny w Łodzi, który działał do 1949 r. i wydawał surowe wyroki, szczególnie gdy dotyczyło to osób pracujących na rzecz hitlerowskiego aparatu terroru. Do tej kategorii można było zaliczyć podejrzaną, ponieważ volkslistę przyznano jej w paździer-

niku 1941 r. Dotyczyło to również jej brata oraz ojca, zaś matka mając polskie pochodzenie, otrzymała stosowny dokument dopiero w kwietniu 1942 r.

18 stycznia 1945 r., gdy na rogatki Łodzi dotarły pododdziały sowieckie, ostatni strażnicy obozowi w pośpiechu wsiedli do wysłużonej ciężarówki i nie zamknąwszy nawet bramy odjechali w kierunku ul. Kilińskiego 152. Zmierzali do budynku przedwojennego więzienia (obecnie Prokuratura Apelacyjna w Łodzi), gdzie w okresie okupacji urzędowała niemiecka policja kryminalna (niem. Kriminalpolizei – Kripo). Wielu jej funkcjonariuszy pełniło służbę w obozie i niektórzy z nich do Łodzi – nazywanej od kwietnia 1940 r. Litzmannstadt – przybyli z głębi Niemiec. Pozostali byli przedwojennymi obywatelami II Rzeczypospolitej, wykorzystującymi niemieckie pochodzenie w celu przyjęcia volkslisty i dołączenia do nazistowskich struktur okupacyjnych. Znaleźli się wśród nich nawet niemieccy repatrianci z terenów będących od 1940 r. pod okupacją Związku Sowieckiego, którzy do 1942 r. byli przesiedleni w okolice Łodzi. Z końcem wojny ich sytuacja stała się jednak bardzo ciężka, ponieważ ich ewakuacja nie następowała i wielu z nich podejmowało desperackie próby ucieczki na Zachód. Natomiast łódzcy volksdeutsche – w większości przypadków – nie chcieli opuszczać miejsca zamieszkania.

Nawet się nie ukrywała

Do tej grupy zaliczała się również Pol, gdyż po dotarciu pod budynek policji kryminalnej, wysiadła z pojazdu i oddaliła się od towarzyszących jej w podróży osób. Wydaje się, że w tym momencie nie czuła się już Niemką i gorączkowo myślała, jak odsunąć od siebie wszelkie zagrożenia, aby bezpiecznie przetrwać w realiach ustroju komunistycznego.

Można pomyśleć, że powojenna rzeczywistość w ogóle nie wpłynęła na jej dotychczasowy tryb życia. Nie ukrywała się i nadal mieszkała w przedwojennym, rodzinnym domu na Dąbrowie w Łodzi. Lokal dzieliła początkowo z rodzicami oraz o trzy lata od niej starszym bratem Mieczysławem. Mężczyzna był kawalerem oraz weteranem Wehrmachtu, który stracił zdrowie na froncie wschodnim. Utrzymywał się z szycia damskiej odzieży i najczęściej zlecenia realizował w domu. Charakter jego pracy nie sprzyjał anonimowości, jednak jego siostrze wcale to nie przeszkadzało. Nie zerwała nawet kontaktów z byłymi pracownikami obozu, ani z osobami weń przetrzymywanymi. W latach 1945–1946 kilkakrotnie odwiedzały ją byłe więźniarki. Niektóre z nich były nawet wdzięczne za okazaną im w obozie pomoc, inne domagały się od niej wsparcia finansowego, co było oczywiście formą szantażu.

Zastanawiające jest jednak zeznanie Pol, w którym twierdziła, że do miejscowości Mosina przyjechała w 1946 r., aby towarzyszyć sowieckiemu prokuratorowi wojskowemu. Zbierał on wówczas materiały na temat hitlerowskich zbrodni popełnionych na dzieciach w okolicach Łodzi i próbował wyjaśnić losy nieletnich więźniów obozu w Konstantynowie Łódzkim. Owa bliźniacza placówka powstała w 1943 r., w pofabrycznych zabudowaniach przy ul. Łódzkiej i przy jej organizacji wzorowano się na rozwiązaniach przyjętych w obozie przy ul. Przemysłowej. Zamiast polskich dzieci przetrzymywano w nim małoletnich obywateli Związku Sowieckiego. Wielu z nich do podłódzkiej miejscowości przywieziono z obozu w Potulicach, gdzie trafiały również transporty z Przemysłowej.

Kolejnym decydującym momentem w życiu Pol była rozprawa przed Sądem Okręgowym w Łodzi. W styczniu 1949 r. została uniewinniona przez sędziego Stanisława Szmidta. Oskarżenie o odstępstwo od narodowości polskiej oraz współpracę z okupantem niemieckim oddalono, co potwierdza wypis milicyjny z sierpnia 1968 r. Ostatecznie, ona i jej rodzina, zostali oczyszczeni z zarzutów o zdradę państwa polskiego i działalność na jego szkodę. W całej sprawie bardzo pomocna okazała się postawa jej ojca, którego ceniono jako murarza i przodownika pracy.

Czy Pol miała jednak wystarczające predyspozycje psychiczne oraz możliwości skutecznego oddziaływania – w warunkach powojennych – na byłych więźniów? Na pewno podejmowała próby kształtowania opinii publicznej oraz chciała wpływać na relacje osadzonych. W swych opisach obozowej codzienności umniejszała tragiczne wydarzenia, przedstawiając dramat dzieci jako stały element wojennej rzeczywistości. W jej mniemaniu, sprawcami obozowych nieszczęść byli wyłącznie Niemcy, nie zaś ona volksdeutschka, ponieważ jej rolą było „niesienie pomocy i ulżenie w cierpieniach niewinnym ofiarom".

Z zawodu Pol była krawcową, choć bardzo szybko przeszła do pracy biurowej, legitymując się nieukończonym kursem administracyjno-handlowym. Najpierw zatrudniono ją w Zakładach Metalowych nr 10 (dawna Fabryka Maszyn C. Bernharda), a od września 1956 r. została intendentką w żłobku Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej (dawna fabryka Adolfa Horaka, następnie Zakłady Przemysłu Bawełnianego „Alba"). Legitymowała się doskonałymi referencjami i przyznawała się do sprawowania okresowo opieki nad setką dzieci w wieku od trzech miesięcy do trzech lat. Dodatkowo trenowała w klubie sportowym „Łodzianka", doskonaląc rzut oszczepem, biegi oraz grę w koszykówkę i siatkówkę. Swoją przygodę ze sportem rozpoczęła jeszcze w 1955 r., kiedy to za namową koleżanki z pracy zapisała się do Klubu Sportowego „Włókniarz". W ten sposób, nie niepokojona przez nikogo, przeżyła pierwszy okres powojenny.

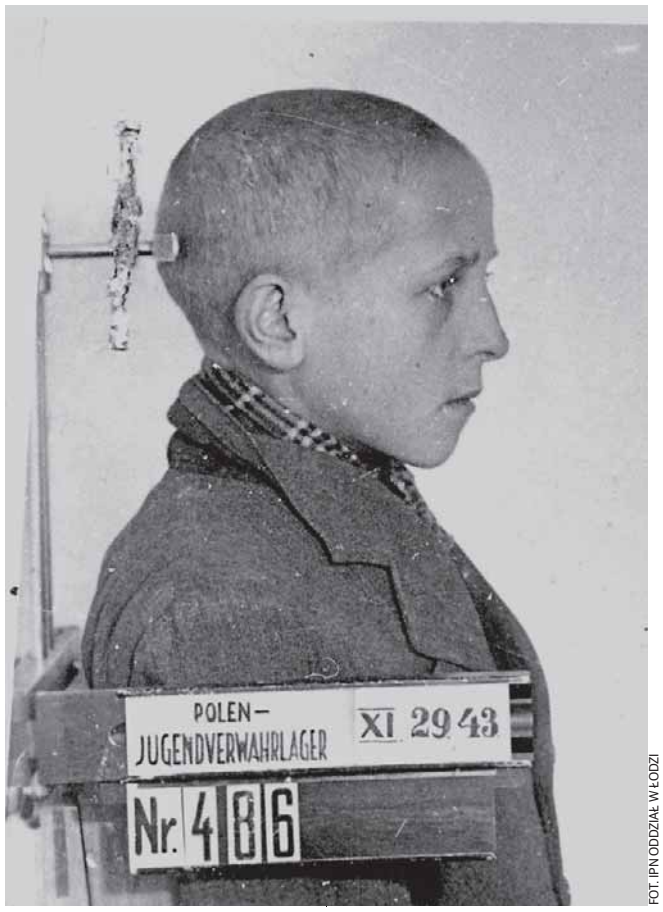

FOT. IPN ODDZIAŁ W ŁODZI

Dzieciom w obozie wykonywano zdjęcia jak kryminalistom

Do spraw z przeszłości powróciła z końcem lat 60. XX w. i zaangażowała się w upamiętnianie obozu oraz współpracę z byłymi więźniarkami, dbając przede wszystkim o wykreowanie pozytywnego wizerunku swojej osoby. Wręcz afiszowała się osiągnięciami sportowymi, nie mając żadnych obaw, że któraś z pokrzywdzonych przez nią kobiet zawiadomi organa ścigania. Dlatego nie stroniła od spotkań z byłymi więźniami obozu przy ul. Przemysłowej i złożyła nawet relację dla członków Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD), opisując panujące w obozie warunki. Materiały przyjął od niej i zredagował były więzień obozów koncentracyjnych w Sachsenhausen oraz Dachau Franciszek Kubiak. Zasiadał on w Komisji Historycznej oraz zarządzie Oddziału Łódzkiego ZBoWiD i dzięki niemu uzyskane od Pol informacje uznano za wiarygodne. Według późniejszych śledczych zamiarem oskarżonej było odsunięcie od siebie wszelkich podejrzeń, które umożliwiały przypisanie jej roli obozowej nadzorczyni. Z premedytacją przedstawiała się w lepszym świetle, chcąc być uznaną za personel pomocniczy. W Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego przy ul. Gdańskiej 13 w Łodzi (obecnie Muzeum Tradycji Niepodległościowych) od listopada 1962 r. widywała się nawet z niektórymi byłymi więźniami. Była także na spotkaniu z dziennikarzem Jażdżyńskim, gdy ten nagrywał relacje do swej książki „Reportaż z pustego pola", którą po wydaniu – trzy lata później – nabyła. Od 1965 r. będąc już członkinią łódzkiego ZBoWiD, za aprobatą sekretarza zarządu Zenona Wojciechowskiego, wystawiała nawet zaświadczenia potwierdzające pobyt w obozie przy ul. Przemysłowej.

W 1946 r. Sąd Okręgowy w Łodzi zlecił postępowanie przygotowawcze miejscowej prokuraturze w sprawie obozu. Niestety opracowane wówczas akta nie zostały wykorzystane w procesach przeciwko Pol. Przyczyna była prozaiczna – zebrany materiał zaginął, co potwierdziła naczelnik archiwum GKBZH w Polsce Maria Bukowska. Wiadomo, że dane na temat obozu zbierała wtenczas sędzia śledcza Sabina Krzyżanowska. Od 1946 r. była ona pracownikiem Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Łodzi i złożyła wyjaśnienia przed wiceprokuratorem Piechotą. Informacje od Krzyżanowskiej mogły być istotne, ponieważ przesłuchiwała byłych więźniów odnośnie personelu obozowego. Nawet zwróciła się o pomoc do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP) w Łodzi, lecz nie otrzymała żadnego potwierdzenia, że odnaleziono Pol.

Choć w tym czasie udało się zidentyfikować trzy osoby z obozowej załogi, Pol nie była jedyną funkcjonariuszką skazaną przez polski wymiar sprawiedliwości. W listopadzie 1945 r. powieszono Sydonię Bayer, zaś rok później stracono Edwarda Augusta, który w obozie pracował do 1944 r. i wielokrotnie znęcał się nad polskimi dziećmi. Procesu nie doczekał natomiast inny volksdeutsch Teodor Busch, zakatowany w celi przez współwięźniów jeszcze w 1945 r. Nie osądzono również polskich pracowników zatrudnionych w obozie przez niemiecki Urząd Pracy, choć w trakcie przygotowań do procesu przeciwko Pol zbierano od nich zeznania. Sędzia nie potwierdzała jednak plotki o rzekomej współpracy Pol z komunistycznym aparatem przymusu, choć niektórzy sugerowali, że dostarczała ona informacji odnośnie poakowskiego podziemia. Natomiast rozwiązanie Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich i jej terenowych odpowiedników w 1949 r. przekreśliło szanse na wyjaśnienie okoliczności funkcjonowania obozu przy ul. Przemysłowej. Stąd musiało upłynąć przeszło 20 lat, by sprawa Pol ponownie ujrzała światło dzienne, a więźniowie mogli złożyć obciążające ją zeznania.

Trzy lata procesów

Procesy przeciwko Pol toczyły się przez trzy lata przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi przy pl. Dąbrowskiego 5 (obecnie Sąd Okręgowy). Od 8 lutego do 27 marca 1972 r. obradowano pod przewodnictwem sędziego Mariana Niepsuja i wspierającej go sędzi Teresy Bocheńskiej oraz czterech ławników. Do sądu akt oskarżenia wpłynął we wrześniu 1971 r. i dotyczył zabójstwa sześciu dziewcząt uwięzionych w obozie. Z imienia i nazwiska zidentyfikowano Urszulę Kaczmarek – zamordowaną w 1943 r. oraz Teresę Jakubowską i Janinę Bammes, które uśmiercono rok później. Według wiceprokuratora Piechoty sprawczynią tych czynów była Pol, która dopuściła się również współpracy z okupantem niemieckim i zdrady państwa polskiego przyjmując volkslistę.

Oskarżona odrzuciła stawiane jej zarzuty i nie przyznała się do popełnienia przestępstwa oraz tego, że swoim zachowaniem w obozie godziła w życie oraz zdrowie dzieci. Nie mogła jednak zaprzeczyć, iż w okresie wojny współpracowała z okupantem niemieckim. Dlatego przyznała się jedynie do wystąpienia w czerwcu 1940 r. o volkslistę. Dokument o numerze 69873 otrzymała 28 października 1941 r. Wiedziała, że czyn ten nie był już uznawany przez władze PRL za przestępstwo i nie groziły za to żadne sankcje karne, ponieważ problem volksdeutschów zamknięto ustawą z 20 sierpnia 1950 r. W drugim akcie oskarżenia wiceprokurator Piechota uwzględnił poprawki naniesione przez prokuratora Zbigniewa Błotnickiego oraz prokuratora Mariana Niesyto i podtrzymał główny zarzut zabójstwa w latach 1943–1944 sześciu więźniarek, za co oskarżonej grozić miała kara śmierci. Z tymi zarzutami w pierwszej kolejności zmierzyli się dwaj, wynajęci przez brata oskarżonej, adwokaci: Tadeusz Skowron i Stefan Frick-Woroński.

Jednak najbardziej pomocny okazał się młody adwokat, przydzielony w grudniu 1970 r. z urzędu, Stanisław Maurer. Była to nietuzinkowa postać łódzkiej palestry, magistrem prawa został w 1956 r., a praktykę zawodową rozpoczął w Tomaszowie Mazowieckim i Opocznie. Jako bezpartyjny, długo czekał na zezwolenie powrotu do Łodzi, gdzie zatrudniono go w Zespole Adwokackim nr 12 przy ul. Piotrkowskiej. W 1980 r. został ekspertem prawnym Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność". Od 1981 r. był obrońcą represjonowanych przez władze komunistyczne działaczy „Solidarności", m.in.: Grzegorza Palki, Jerzego Kropiwnickiego, Jerzego Dłużniewskiego oraz Józefa Śreniowskiego. Na początku lat siedemdziesiątych nikt nawet nie przypuszczał, że dzięki niemu sprawa przeciwko Pol nie będzie łatwa dla organów państwa, a wiedza zdobyta przez prokuraturę i potwierdzona ekspertyzami biegłych nie wytrzyma konfrontacji z dowodami obrony.

Dla postronnych Pol sprawiała wrażenie osoby żyjącej pełnią życia. Nie ukrywała się i nie planowała opuszczenia Łodzi, gdzie spędziła dzieciństwo oraz młodość. W obozie pracowała przez dwa lata, zaczynając służbę w wieku dwudziestu lat. Była jedną z kilku zatrudnionych volksdeutschek w Wydziale VI tegoż obozu. Pracowała z postawną Sydonią Bayer, tęgą Marią Linke oraz niską i ciemnowłosą Olgą Reichel. Pozostałe funkcyjne to Maria Koster, Helena Bidermann oraz Olga Schmidt, lecz świadkowie nie potrafili dokładnie ich scharakteryzować. Niektóre cechy oraz zachowania typowe dla Bayer przypisywano później Pol, choć obydwie kobiety różniły się wiekiem oraz wyglądem fizycznym. Przed sądem szczupła Pol była skromnie ubrana i wyraźnie dążyła do pomniejszenia swej roli w systemie obozowego terroru. Wierzyła, że wiele więźniarek „uchroniła" przed brutalnością obozowego życia. Z niektórymi dziewczynkami – jako ich nadzorczyni – trafiła do folwarku w miejscowości Dzierżązna nieopodal Zgierza, gdzie wiosną 1943 r. oddano na potrzeby obozu ziemię orną wraz z ogrodem, pastwiskiem i stawami rybnymi. Dodatkowo niektórzy świadkowie odwołali już na sali sądowej swoje wcześniejsze zeznania i nie potrafili rozpoznać na zdjęciach oskarżonej, nierzadko błędnie utożsamiając ją

Ciąg dalszy na str. 10

Dokończenie ze str. 9

z Bayer, a nawet dopatrując się winy Linke. Niejasności występowały odnośnie okoliczności śmierci Urszuli Kaczmarek oraz Teresy Jakubowskiej, którą mylono z żyjącą Danutą Jakubowską. Ona również przybyła 25 lutego 1972 r. na proces z Żychlina i na sali sądowej występowała wraz z Franciszkiem Kaczmarkiem z Poznania, który był ojcem zamordowanej w obozie Urszuli.

Wiosną i latem 1971 r. trzy byłe więźniarki (Jadwiga Pawlikowska, Gertruda Skrzypczak, Barbara Olejniczak) rozpoznały Pol jako „główną oprawczynię obozową", gdy stanęła przed nimi za weneckim lustrem w otoczeniu dwóch innych kobiet w podobnym wieku. Dla sądu był to jednak dowód wciąż niewystarczający, a wszelkie niejasności interpretowano na korzyść oskarżonej, choć w prasie pojawiły się nawet artykuły krytykujące stanowisko wymiaru sprawiedliwości i broniące świadków oraz prokuratury. Należy nadmienić, że wpływ na zachowanie zeznających miała liczna publiczność zgromadzona na sali sądowej. Żywo reagowała na wypowiedzi świadków, co ich denerwowało i peszyło. Indagowani przez sąd tłumaczyli, że proszono ich jedynie o przedstawienie okoliczności pobytu w obozie. Nikt nie wymagał od nich informacji na temat zbrodniczej działalność oskarżonej. Dlatego byli zaskoczeni szczegółowymi pytaniami obrońcy oskarżonej. Świadkowie wiele szczegółów przypominali sobie dopiero w późniejszym okresie i to nierzadko w trakcie rozprawy, co wzbudzało sprzeciw adwokata Stanisława Maurera.

W tej kwestii poparła świadków jednak biegła psycholog z Sądu Wojewódzkiego w Łodzi i zarazem specjalistka z Państwowego Pogotowia Opiekuńczego Maria Łęgowska. Dowodziła ona prawidłowości tego typu zachowań, lecz sądu to nie przekonało, ponieważ w zeznaniach - jak pisała ówczesna prasa - „dopatrywał się on tendencyjności i braku obiektywizmu". Dowiedziono również, że osoby - uznane za naocznych świadków zabójstwa więźniarki Kaczmarek - do obozu przybyły dopiero latem lub jesienią 1943 r. i nie mogły widzieć wydarzeń z maja 1943 r., lecz jedynie o nich słyszały. Dla sądu problematyczne było także zdrowie świadków. Niektórzy zeznający powoływali się na długotrwałe lub chwilowe zaniki pamięci, padaczkę oraz przebyte zapalenie opon mózgowych. Z tych względów sąd nie dołączył ich zeznań do materiału dowodowego, uznając je za mało wiarygodne. Uczynił to również z zeznaniem Marii Gapińskiej, uważając je za nieprawdziwe. Była więźniarka stwierdziła, że Pol zamordowała w filii rolnej obozu w Dzierżąznej młodą Czeszkę o nazwisku Novaczkova: „Kiedy dziewczynka upadła, Pohlowa zepchnęła ją nogą do wody pod koło młyńskie. Wyłowiono jej zwłoki". Sąd stwierdził jednak, uznając argumenty obrony, że w obozie nie było obywatelki Czechosłowacji, stąd oskarżona nie mogła jej zabić w Dzierżąznej. Dlatego w akcie oskarżenia prokuratura nie podtrzymywała tego zarzutu i nie oskarżała Pol o kolejne zabójstwo, uznając wniosek adwokata w tym punkcie za słuszny. Warto jeszcze zaznaczyć, że prokuratura nie miała początkowo żadnych zastrzeżeń, co do intencji świadka i zorganizowano nawet wizję lokalną w Dzierżąznej.

Wkracza świadek Witkowski

W kwietniu 1973 r. wiceprokurator Piechota musiał jednak przyznać, że w wyniku rozprawy sądowej z 1972 r. ujawniono szereg niekorzystnych okoliczności odnośnie wiarygodności wyżej wymienionego świadka. Jak widać obrona zręcznie wykorzystywała wątpliwości, pytając nawet o ubiór i kolor włosów Pol oraz o dokładną lokalizację obozu. Dla prokuratury najbardziej niekorzystne były powojenne znajomości oskarżonej z więźniami i jej spotkania w łódzkim ZBoWiD. Niektórzy z represjonowanych bezzwrotnie „pożyczyli" od niej duże sumy pieniędzy, co czyniło ich zeznania bezwartościowymi. Problemem do wyjaśnienia była również liczba dzieci osadzonych w obozie, albowiem uchybienia w tej materii rzutowały przede wszystkim na całość oskarżenia. Opierało się ono na tezie, że był to duży niemiecki obóz koncentracyjny, gdzie z powodu warunków bytowych oraz zbrodniczej działalności kadry panowała wysoka śmiertelność wśród osadzonych dzieci.

Do rozbieżności z aktem oskarżenia doszło już w trakcie pierwszego procesu w 1972 r. Wówczas, za zgodą OKBZH w Łodzi, „Głos Robotniczy" poinformował opinię publiczną o ok. 6 tys. przypadków śmierci więźniów w obozie przy ul. Przemysłowej, co było dwukrotnym obniżeniem poprzednich szacunków. Z danymi zaprezentowanymi w prasie nie zgadzał się jednak Witkowski. Podczas procesu zaznaczał, że zawiadomił listownie OKBZH w Łodzi, że Pol chodzi po mieście niczym „esesmańscy zbrodniarze w Republice Federalnej Niemiec". Dla niego była ona „największym postrachem obozu", „sadystką karmiącą uwięzione dzieci niczym gołębie", tak jak w przedstawionej scenie z filmu „Twarz anioła", na którą powoływali się również inni świadkowie. Dlatego w trakcie procesu Witkowski opublikował artykuł w „Przeglądzie Lekarskim" z 1972 r. i dowodził, że: „[...] odporni lub mający więcej szczęścia wytrzymywali kilka tygodni, inni kilka miesięcy, przeżyć zdołali tylko nieliczni. Ogółem (razem ze zwolnionymi) obóz przeżyło nieco ponad 900, co stanowiło 7-8 proc. więzionych. Po ćwierćwieczu odnaleziono nieco ponad 300, co stanowi około 1/3 tych, którzy przeżyli. Pozostali małoletni więźniowie zmarli prawdopodobnie wskutek przeżyć obozowych".

Było to kategoryczne stwierdzenie ze strony Witkowskiego, który dokonał benedyktyńskiej pracy, ustalając ok. 1,3 tys. nazwisk więźniów obozu. Pierwsze relacje uzyskał już w latach 1968-1969, zaczynając od więźniów obozu w Mysłowicach. Wnioski i ustalenia poczynione przez Witkowskiego nie wytrzymały jednak próby czasu, ponieważ wiceprokurator Piechota dysponował już publikacją naukową Tatiany Kozłowicz „Karny obóz pracy dla młodzieży w Łodzi", w której prezentowano inne dane statystyczne i nie stawiano tezy, że był to obóz koncentracyjny. Autorka od 1965 r. była kierownikiem biura OKBZH w Łodzi i korzystała ze źródeł niemieckich. Wyliczyła, że przez obóz w latach 1942-1945 przeszło ok. 2 tys. młodocianych więźniów, z tego ok. 400 pochodziło z Łodzi. Oskarżyciel jednak nie wziął w ogóle jej publikacji pod uwagę. Zaufał natomiast wiedzy Witkowskiego, pracującego w Zespole do Spraw Eksterminacji Dzieci przy GKBZH w Polsce, z którym utrzymywał stały kontakt od 1971 r.

Należy nadmienić, że w tropieniu poobozowych materiałów i w pozyskiwaniu relacji od byłych więźniów Witkowski był nader skuteczny, co przesądziło o powołaniu go na świadka w sprawie przeciwko Pol. Przed procesem spotykał się również z innymi świadkami, choć wiedział, że prokuratura zażąda kary śmierci dla oskarżonej. Sugerował nawet zmianę terminu rozprawy z lutego 1972 r. na koniec roku. Do sądu przesłał także plan sytuacyjny obozu wraz z jego opisem i zaznaczył, że jego książka na temat Polenjugendverwahrlager der Sicherheitpolizei in Litzmannstadt została oddana już do druku. Nadmienię, że wydrukowano ją dopiero trzy lata później, nie powołując się na żadne ustalenia z rozpraw sądowych z lat 1972-1974. Należy jednak pamiętać, że autor publikacji „Hitlerowski obóz koncentracyjny dla małoletnich w Łodzi" składał zeznania przeciwko Pol i wiedział o odrzuceniu przez sąd wielu dowodów oraz danych statystycznych dotyczących liczby więźniów i zamordowanych lub zmarłych w nim dzieci, a jednak w ogóle ich nie uwzględnił.

Kolejną okolicznością przemawiającą na korzyść oskarżonej było to, że Witkowski, ani wymieniony już Raźniewski, nie byli świadkami zabójstwa dziecka przez Pol w obozie. Słyszeli jedynie o jej zbrodniach od innych osadzonych, gdy rozmawiali z nimi w latach powojennych na temat podsądnej. Podczas procesu okazało się również, że Witkowski znał oskarżoną od wielu lat i od wiosny 1969 r. korespondowali ze sobą. Kilkakrotnie się z nią spotykał, choć podkreślał w zeznaniach, że nie żywił do niej żadnej urazy. Widział się nawet z jej bratem, który miał mu proponować 20 tys. złotych za nieskładanie na jego siostrę zawiadomienia do prokuratury.

FOT. IPN ODDZIAŁ W ŁODZI

Cyfrowa rekonstrukcja ogrodzenia obozu i wieżyczki strażniczej

Drugi proces

Ostatecznie materiały Witkowskiego, ani dowody przedstawione przez wiceprokuratora Piechotę nie wystarczyły do skazania Pol w pierwszym procesie. Sąd uznał, że w oparciu o zaprezentowane dowody nie można jej przypisać sześciu zabójstw w obozie. W związku z tym nakazał ponowne zbadanie sprawy i przede wszystkim uzupełnienie dowodów, aby nie było wątpliwości, że podejrzana dopuściła się czynów karalnych. Za winę nie uznano samej pracy w obozie, choć przyjęto opinię biegłych o jego eksterminacyjnym charakterze. Do niekorzystnego dla prokuratury werdyktu walnie przyczyniła się również obrona, która złożyła wniosek o pociągnięcie do odpowiedzialności karnej innych osób zatrudnionych w obozie. W tym przypadku chodziło przede wszystkim o Polaków przyjętych w nim do pracy, którzy nawet nie musieli występować o wpisanie ich na volkslistę i wciąż żyli oraz składali relację na temat obozu.

Zanim jednak rozpoczął się drugi proces Pol, 4 maja 1973 r. w Prokuraturze Generalnej w Warszawie odbyła się tzw. narada robocza w tejże sprawie. Posiedzenie trwało sześć godzin i obecni na nim byli przedstawiciele stołecznych organów sprawiedliwości, tj.: Ludomir Anders (dyrektor Departamentu II Prokuratury Generalnej), Zbigniew Halota (jego zastępca) i Zbigniew Malinowski (nadzorujący postępowanie przygotowawcze z ramienia Prokuratury Generalnej). Do stolicy przybyli reprezentujący Prokuraturę Wojewódzką dla m. Łodzi: Bolesław Szczepaniak (zastępca prokuratora wojewódzkiego), Stanisław Król (naczelnik Wydziału II), Błotnicki (kierownik Rejonu Nadzoru Terenowego w Wydziale II) oraz Piechota (Wydział II), który przedstawił zebranym pierwszą wersję aktu oskarżenia. Scharakteryzował także Pol, omawiając wartość zebranych dowodów i zasugerował sporządzenie nowego aktu oskarżenia, ponieważ pojawiły się nowe dowody dotyczące kolejnych zabójstw w obozie.

Zdania jego nie podzielał Szczepaniak i argumentował, że uwzględniając przebieg poprzedniej rozprawy sądowej, akt oskarżenia należy ograniczyć tylko do przypadków zdecydowanie pewnych i potwierdzonych licznymi dowodami, co jego zdaniem sprowadza się tylko do zamordowanej Teresy Jakubowskiej i Urszuli Kaczmarek. Sytuację próbowali jednak ratować Król i Błotnicki, sugerując możliwość dopisania do aktu oskarżenia kolejnych przypadków śmierci w obozie, lecz pod warunkiem, że zostanie to dokładnie rozważone. Wymowna i ucinająca całą dyskusję była jednak zaprotokółowana wypowiedź Andersa, który argumentował, że sprawa Pol w żadnym wypadku nie może się zakończyć wynikiem niepomyślnym dla Prokuratury i wskazał, że należy uczynić wszystko, aby w toku ponownej rozprawy sądowej nie wystąpiły żadne nieprzewidziane dla oskarżenia okoliczności, jak to miało miejsce poprzednio.

Natomiast wspierający go zastępca - Halota wskazał polityczne tło sprawy i według niego nie można było dopuścić do żadnych błędów. Dlatego należało bardziej wyeksponować charakter łódzkiego obozu, uznając go przede wszystkim za obóz koncentracyjny. Doradzał, aby oskarżenie było skonstruowane problemowo zgodnie z art. 1, pkt. 1 Dekretu z dnia 31 sierpnia 1944 r. Dalsze dyspozycje dotyczyły „celowego podnoszenia kwestii niewiedzy o łódzkim obozie i jego zakamuflowanym charakterze", co miało prowadzić do wniosku, że okupant niemiecki zadbał, aby miejsce osadzenia polskich dzieci nie zostało rozpoznane, a wszelkie materiały z nim związane zostały przezeń zniszczone. Doradzano również, aby dr Roman Hrabar - powołany jako biegły w trakcie procesu w 1972 r. - zapoznał się z publikacją „Reportaż z pustego pola" i wydał o niej opinię. Zadbano także, aby materiały z zebrań z 1962 r., kiedy Pol była obecna w Muzeum Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi, zostały odnalezione. Ponadto nakazywano wyjaśnienie sprawy listów byłych więźniów, którzy w latach 1945-1950 prowadzili przyjazną korespondencję z oskarżoną, co miało zagwarantować, że ich treść nie będzie zaskoczeniem dla prokuratury, gdy po nie sięgnie obrona oskarżonej.

Oczekiwano również przygotowania dokładnej charakterystyki biegłych, dopuszczając możliwość ich wymiany oraz domagano się omówienia okoliczności osadzenia w obozie świad-

ków, aby nie powoływać się na osoby zesłane do obozu z powodu popełnienia przestępstw pospolitych, tj. kradzieży, podpalenia, włóczęgostwa. Prokuraturze szczególnie zależało na prześledzeniu powojennych losów poszczególnych świadków i udokumentowaniu ich niekaralności w okresie powojennym, ponieważ w poprzednim procesie opierano się na zeznaniach osób osadzonych w więzieniu, co zostało wykorzystane przez adwokata, który dowodził, że opinie ich o oskarżonej nie są wiarygodne.

Dodatkowo należało dokładnie rozpoznać charakter pracy świadków, preferując przede wszystkim osoby zatrudnione. Opisać miano także ich wykształcenie oraz stan zdrowia, aby nie było precedensu, że jeden ze świadków jest pod stałą opieką medyczną z powodu padaczki i silnej nerwicy. Ponowny akt oskarżenia przeciwko Pol wpłynął do Sądu Wojewódzkiego w Łodzi w IV Wydziale Karnym 14 listopada 1973 r., a 10 grudnia przewodniczący sądu Zbigniew Dominikowski wraz z sędziami Januszem Ritmanem i Eugeniuszem Baworowskim przedłużyli tymczasowy areszt dla podejrzanej.

Kolejny proces rozpoczął się 12 marca 1974 r. Tym razem był prowadzony bez udziału większej liczby publiczności, ponieważ prezes Sądu Wojewódzkiego w Łodzi Tadeusz Lenczewski zarządził imienne karty wstępu na salę rozpraw, gdzie przewodniczył sędzia J. Bartosik, a wspierał go sędzia R. Wyrzykowski. Do drugiego procesu włączono również prokuratora łódzkiego Błotnickiego, byłego więźnia niemieckiego obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, który w 1954 r. oskarżał szefa piotrkowskiego Gestapo i wojennego zbrodniarza Hermana Altmanna. Na sali sądowej wspierał go wiceprokurator wojewódzki Piechota, który działał równocześnie z ramienia OKBZH w Łodzi, albowiem od 1 lutego 1974 r. – na wniosek przewodniczącego Komisji, prokuratora Wodnego – został jej pracownikiem. Ponadto w procesie wzięli udział dotychczasowi biegli: prawnik i adwokat z Katowic dr Hrabar, który był zarazem ekspertem GKBZH w Polsce oraz lekarz dr Czesław Kempisty z Wrocławia, były więzień obozu koncentracyjnego w Auschwitz i założyciel – pierwszej w kraju – poradni lekarskiej dla członków ZBoWiD.

Wiedza ich była wszechstronna, lecz nie zawsze dotyczyła spraw łódzkiego obozu. Pierwszy z ekspertów wydawał opinię o charakterze niemieckiego obozu przy ul. Przemysłowej w Łodzi, zaś drugi oceniał aktualny stan zdrowia osadzonych w nim więźniów. Przesłuchano kolejne dwanaście osób i uzupełniono 37 dotychczasowych zeznań, co zwiększyło ogólną liczbę przesłuchanych do 77 osób. Zweryfikowano jednak dotychczasowych świadków biorących udział w procesie z 1972 r. i niektóre zeznania wyłączono z procesu. Powołano dwóch nowych psychologów, tj.: biegłego Sądu Wojewódzkiego w Łodzi dr Judytę Małecką, która pracowała również w Specjalnej Szkole Podstawowej nr 117 oraz Marię Serafin-Hreczuch z Wojewódzkiej Przychodni Zdrowia Psychicznego we Wrocławiu. Szczególnie przydatne dla prokuratury były działania dr Małeckiej, ponieważ psycholog uczestniczyła w ponownym przesłuchaniu świadków, przeprowadzała z nimi rozmowy i wywiady oraz zadawała pytania, co znalazło odzwierciedlenie w aktach procesowych. Latem 1974 r. otrzymano także opinie kilku lekarzy, w tym dyrektora Instytutu Medycyny Społecznej w Łodzi prof. Janusza Indulskiego oraz kierownika Katedry Historii Akademii Medycznej w Łodzi doc. Janusza Fijałka. Do ich orzeczenia dołączono również opinię biegłych z Zakładu Medycyny Sądowej Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Poparli oni wnioski dr. Kempisty i uznali za wartościowe oraz wiarygodne zeznania więźniów, którzy w obozie przebywali przynajmniej dwa lata i kiedy doń zostali zesłani, ukończyli dziesiąty rok życia.

To nie był Auschwitz

Zapoznając się z aktami procesu przeciwko Pol odnosi się wrażenie, że zeznania wielu świadków – dołączone do procesu z 1974 r. – pozostają wciąż niespójne, a szereg faktów przez nich przytaczanych nie znajduje potwierdzenia w materiałach dowodowych, ani w historycznych opracowaniach na temat obozu. Zwłaszcza porównywanie łódzkiego kacetu przy ul. Przemysłowej do obozu koncentracyjnego w Auschwitz i w Ravensbrück jest niewłaściwe, gdyż nie potwierdza tego wielkość łódzkiego ośrodka, liczba jego więźniów i ofiar. Dodatkowo obóz przy ul. Przemysłowej w Łodzi był nadzorowany przez niemiecką policję kryminalną, nie zaś przez wyspecjalizowane jednostki powołane do pilnowania niemieckich obozów koncentracyjnych. Dlatego w obozie oskarżona, ani inne funkcjonariuszki nie były początkowo umundurowane i nie zakładały uniformów SS, jak przedstawiono w filmie fabularnym „Twarz anioła".

Skupianie się natomiast na kwestiach obyczajowych związanych z podsądną i pomijanie tego typu zachowań u innych strażników obozowych, rodziło u obserwujących rozprawę przekonanie, że Pol była osobą zdemoralizowaną. Niestety sąd w ogóle nie zadawał szczegółowych pytań świadkom i nie domagał się od nich dodatkowych wyjaśnień, nierzadko uchylając pytania obrony, nawet, gdy zeznający potwierdzali, że niektóre nazwiska lub wydarzenia poznali jedynie za sprawą Witkowskiego lub publikowanych przez niego w „Przeglądzie Lekarskim" artykułów. Wyjaśniali również, że część informacji pozyskali z telewizji lub radia, albo zapoznali się z wystawą martyrologiczną na temat obozu przy ul. Przemysłowej w miejscu ich dotychczasowego zatrudnienia i teraz odtwarzają przed sądem przedstawione w nich dane oraz wydarzenia.

Dla wielu jednak osób uczestniczących w rozprawie lub śledzących jej przebieg dużym zaskoczeniem było wyjawienie przez Józefa Witkowskiego jego prawdziwych personaliów oraz miejsca poprzedniego zatrudnienia. Ostatecznie, na wniosek sądu, świadek podał swoje prawdziwe nazwisko i poinformował, że do 1961 r. był znany jako Józef Gacek i zmieniając dane osobowe, przyjął nazwisko drugiej żony Marii Witkowskiej, którą poślubił rok wcześniej. Potwierdził również, że był funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa.

Ostatecznie sąd nie uwzględnił szeregu dowodów obrony, lecz zarazem odstąpił od zawyrokowania wobec oskarżonej kary śmierci. 2 kwietnia 1974 r. skazano ją na 25 lat więzienia, pozbawiając praw publicznych na dziesięć lat i konfiskując jej majątek na rzecz skarbu państwa. Na poczet kary zaliczono jednak czas pobytu w areszcie. Do bydgoskiego więzienia w Fordonie przy pl. Zwycięstwa 8, 51-letnią Pol wywieziono w maja 1974 r. Do Łodzi powróciła raz jeszcze na rozprawę rewizyjną, którą przeprowadzono 4 czerwca 1975 r. Nie zmieniło to już wcześniejszego wyroku, ponieważ Sąd Najwyższy w styczniu 1976 r. utrzymał go w mocy. Należy jednak zaznaczyć, że obrońcy dążyli do zmiany kwalifikacji prawnej oskarżenia i domagali się, aby ich klientka była sądzona za znęcanie się nad więźniami obozu, nie zaś za ich morderstwo. W uzasadnieniu wyroku podkreślono jej okrucieństwo, powołując się na zeznania świadków, którzy widzieli jak zadawała więźniarkom razy pejczem, rózgą lub kijem. Wielokrotnie popychała oraz lżyła polskie dzieci, zmuszając je do posługiwania się wyłącznie językiem niemieckim. W dręczeniu więźniów wykazywała się dużą pomysłowością i nierzadko sama inspirowała kary, czyniąc ich pobyt w niemieckim obozie jeszcze trudniejszym. Dlatego skutki jej postępowania mogły przyczynić się do śmierci torturowanych ofiar, choć nie udowodniono jej bezpośredniego udziału w zamordowaniu zidentyfikowanych trzech więźniarek: Kaczmarek, Jakubowskiej i Bammes.

Autor jest naczelnikiem Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Oddział w Łodzi

CZŁOWIEK, KTÓRY PRZYPOMNIAŁ HISTORIĘ OBOZU

ARTUR OSSOWSKI

Nie przebrzmiały jeszcze echa procesu przeciwko Eugenii Pol, gdy wrocławskie wydawnictwo Ossolineum opublikowało w 1975 r. książkę Józefa Witkowskiego „Hitlerowski obóz koncentracyjny dla małoletnich w Łodzi". Wydano ją tylko w nakładzie niespełna 3 tys. egzemplarzy, ale jej treść na długo zmieniła pogląd na historię niemieckiego obozu dla dzieci przy ul. Przemysłowej.

Kim był jednak Józef Witkowski, gdyż niektórzy świadkowie nie pamiętali go z obozu? Znali go natomiast z okresu zbierania relacji o niemieckim obozie dla dzieci przy ul. Przemysłowej oraz rozmów z nim odbytych przed i w czasie procesu przeciwko byłej nadzorczyni. Dlatego na wniosek sądu, świadek Witkowski ujawnił swoje prawdziwe nazwisko i poinformował, że do 1961 r. był znany jako Józef Gacek, syn Szymona (ur. 1929 r. w Tenczynku). Zmieniając dane osobowe, przyjął nazwisko drugiej żony Marii Witkowskiej (ur. 1937 r.), którą poślubił rok wcześniej. Potwierdził również, iż był podporucznikiem Służby Bezpieczeństwa.

Wracając jednak do jego wojennych przeżyć, należy zaznaczyć, że do obozu przy ul. Przemysłowej trafił jesienią 1943 r. jako czternastoletnie dziecko i otrzymał numer 798. Był jednym z kilkudziesięciorga małoletnich Polaków, których z mysłowickiego obozu skierowano do Łodzi. Matkę Witkowskiego Niemcy uznali za kryminalistkę, ponieważ przed wojną skazano ją za morderstwo męża. W maju 1945 r. Witkowski powrócił w rodzinne strony, lecz nie odnalazł młodszej siostry ani matki. Dlatego wstąpił do wojska i w obozie pracy w Kruszwicy pilnował niemieckich jeńców wojennych, a następnie służył w Brzegu nad Odrą. W 1948 r. został funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i zwalczał antykomunistyczne organizacje niepodległościowe w Dzierżoniowie, Kłodzku, Wrocławiu, Wałbrzychu oraz Zgorzelcu. Chwalono jego umiejętności polityczne i podkreślano zapał do wdrażania przemian ustrojowych w Polsce. Doskonale pracował z agenturą, choć nie pił alkoholu, o czym informowali inni funkcjonariusze. Zaznaczano jednak, że mając ukończonych pięć klas szkoły powszechnej nie przejawiał chęci do dalszej nauki i nie był prawdomówny, choć przełożeni doceniali jego inteligencję, sumienność oraz zdyscyplinowanie. Był także porywczy, lecz tłumaczył swoje niewłaściwe zachowanie bólami głowy, mdłościami oraz zaburzeniami pamięci. Zwracano jednocześnie uwagę, że będąc postury średniej, o pociągłej twarzy, odżywiał się nieregularnie, zaś bardzo dużo palił – nawet czterdzieści papierosów dziennie, co wzbudzało niepokój badających go lekarzy, ponieważ miewał także kłopoty z krążeniem. Nawet jego życie rodzinne poddano ocenie, co wzbudzało sprzeciw Witkowskiego. Pierwszą żonę poznał w poliklinice wrocławskiej, gdzie przebywał na leczeniu. Ślub z pielęgniarką Mieczysławą Osman (ur. 1928 r.) wziął w 1950 r. Jego wybranka w dzieciństwie również straciła ojca i mając ukończone sześć klas szkoły powszechnej, pracowała na roli. Małżonkowie rozwiedli się jednak po dziesięciu latach. W tym czasie odnowił on relacje z siostrą oraz opiekował się umierającą na raka matką. W 1958 r. zwolniono go ze służby w organach bezpieczeństwa, co odbiło się na jego zdrowiu oraz życiu rodzinnym. W tej trudnej sytuacji oparciem dla niego pozostała Maria Witkowska. Od 1962 r. zatrudniono go we wrocławskim Domu Mody „Elegancja", powierzając mu kadry, tajną kancelarię zakładową oraz szkolenia ideologiczne dla pracowników. W 1963 r., po zdaniu matury dla pracujących, został ekspertem w Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu.

FOT. JOANNA PIOTROWSKA

Spotkanie byłych więźniów obozu w Mosinie, 2 lutego 1980 r. W pierwszym rzędzie – od lewej – Józef Witkowski

Po skazaniu Eugenii Pol, przez długie lata nagłaśniał historię obozu i bardzo aktywnie konsolidował środowisko więzienne. Nigdy nie pogodził się z tym, że sąd nie uznał maszynopisu opracowywanej przez niego książki za dowód. Dlatego w 1975 r., publikując ją drukiem, nie odniósł się do ustaleń procesowych i nie przytoczył liczby ok. 4 tys. uwięzionych w obozie dzieci, choć wiedział, że są to informacje podane w uzasadnieniu wyroku wobec oskarżonej Pol. Dla niego wciąż obowiązującą liczbą było ok. 12 tys. osadzonych dzieci, z których przeżyło niespełna dziesięć procent.

Poświadczenie, że był więźniem obozu przy ul. Przemysłowej w Łodzi, uzyskał dopiero w 1976 r. Opiniował również wnioski o członkostwo w szeregach Związku Bojowników o Wolność i Demokrację innym więźniom tegoż obozu i pośredniczył w uzyskaniu dokumentów potwierdzających pobyt w obozie od OKBZH w Łodzi.

Rok po wydaniu książki Witkowskiego, Tadeusz Bojanowski napisał jej recenzję w „Roczniku Łódzkim". Do atutów pracy zaliczył wykorzystanie prywatnych listów oraz dokumentów więźniów. Podkreślił jednak, że autor niewspółmiernie dużo uwagi poświęcił Pol i bardzo zawyżył liczbę dzieci osadzonych w obozie. Pomimo krytycznej oceny książka do dziś jest cytowana i uznawana za wiarygodne źródło dziejów obozu. Autor niniejszej publikacji zmarł w 1991 r. i został pochowany we Wrocławiu. Eugenia Pol przeżyła go o dwanaście lat i spoczęła na jednym z łódzkich cmentarzy.

PĘKNIĘTE SERCE ŁODZI

BARTOSZ BIJAK

Zadziwiająca jest kurtyna niepamięci jaka opadła nad niemieckim obozem pracy dla polskich dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi po zakończeniu okupacji. Być może dramat osadzonych w nim małoletnich pozostał w cieniu zbrodni popełnionej przez Niemców na więźniach Radogoszcza lub zagłady Litzmannstadt Ghetto. W każdym razie jest przykrym faktem, że na upamiętnienie ofiar obozu przyszło poczekać mieszkańcom Łodzi ponad ćwierć wieku.

Spójrzmy jednak na tę sytuację w myśl znanego przysłowia: Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Zapewne gdyby pomnik powstał tuż po wojnie, w zrujnowanym gospodarczo kraju, to można przypuszczać, że byłby to obiekt niezwykle prosty i skromny w swej formie. Tymczasem „wyjątkowość" historii, która stała się udziałem więzionych dzieci wymagała odpowiedniego potraktowania zarówno w aspekcie fizycznym jak i artystycznym. Jak byśmy jednak nie podeszli do sprawy to trudno zaprzeczyć, że mamy w Łodzi jeden z najciekawszych pomników martyrologicznych w skali kraju. Poruszający, zmuszający do refleksji, nie pozwalający przejść obok niego obojętnie.

Przełomem w kwestii renesansu społecznej pamięci o obozie, ale również i w aspekcie powstania w Łodzi trwałego znaku pamięci było wydanie w 1965 r. książki Wiesława Jażdżyńskiego „Reportaż z pustego pola". Mimo tego, że autor był łódzkim dziennikarzem, a publikację wydało Wydawnictwo Łódzkie, zainspirowała ona do idei stworzenia upamiętnienia nie lokalnych decydentów, a uczniów z Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Głuchych w Przemyślu. To oni skierowali do oddziału Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Łodzi pismo z propozycją ustawienia w mieście kamienia pamiątkowego z tablicą informującą o obozie oraz przekazali na ten cel drobną kwotę pieniędzy. I choć kilka miesięcy później odpowiednie gremia urzędniczo-partyjne podchwyciły inicjatywę uczniów i nakreśliły ambitne plany upamiętniania młodocianych więźniów z „Przemysłowej", to konkurs na projekt pomnika ogłoszono dopiero w czerwcu 1968 r.

FOT. KRZYSZTOF SZYMCZAK

Pomnik Pękniętego Serca porusza, skłania do refleksji

Na konkurs zgłoszono – jak można przeczytać w prasie z epoki – 19 prac rzeźbiarskich, choć już z raportu z wystawy pokonkursowej wynika, że eksponowano na niej 17 makiet. Przez 15 dni trwania ekspozycji w Ośrodku Propagandy Sztuki w Łodzi z efektami prac artystów zapoznało się 2140 osób. Do realizacji wybrano projekt Jadwigi Janus i Ludwika Mackiewicza, który zdobył jedną z dwóch równorzędnych drugich nagród w konkursie. Monument powstawał, licząc od ogłoszenia konkursu do odsłonięcia, prawie 3 lata. We wrześniu 1969 r. uroczyście wmurowano akt erekcyjny, a wiosną kolejnego roku wykonano fundamenty. Finał przedsięwzięcia miał miejsce 9 maja 1971 r. podczas wielotysięcznej uroczystości odsłonięcia pomnika.

Głównym elementem upamiętnienia, zlokalizowanego na skraju Parku im. Szarych Szeregów (w okresie PRL Park im. Promienistych) jest ośmiometrowej wysokości rozszczepiona bryła z metalizującego betonu przypominająca przełamane serce. Stąd wzięła się popularna wśród łodzian nazwa – „Pęknięte Serce". W szczelinie stoi rzeźba wychudzonego, nagiego chłopca patrzącego we wnętrze pęknięcia, którego kształt odwzorowuje zwielokrotniony kontur jego postaci. Mieszkańcy okolicznych osiedli nazwali go „Chudym". Bezpretensjonalnie i przejmująco zarazem w kontekście historii obozu. Przed pomnikiem znajduje się znicz i płyta z wymownym napisem Odebrano wam życie, dziś dajemy Wam tylko pamięć. Z drugiej strony umieszczono podobną płytę z wizerunkiem Orderu Krzyża Grunwaldu i informacją, że Rada Państwa PRL przyznała to odznaczenie (…) dzieciom pomordowanym w tym obozie przez hitlerowskich ludobójców. Tło dla pomnika stanowi, umiejscowione w pewnej odległości od niego, konstrukcja z płyt betonowych stylizowana na ogrodzenia obozu z nazwami niemieckich obozów koncentracyjnych, zagłady oraz przesiedleńczych. W 2021 r. obiekt przeszedł gruntowną renowację, a całość założenia została uzupełniona o tablicę informacyjną wykonaną w identycznej stylistyce jak dwie pozostałe.

Nośnikiem pamięci o dzieciach więzionych w obozie są również upamiętniania znajdujące się w Dzierżąznej koło Zgierza. W tej niewielkiej wsi mieściła się filia obozu o charakterze gospodarstwa rolnego mającego zapewniać dopływ żywności dla macierzystej jednostki. Już rok po odsłonięciu „Pękniętego Serca" na fasadzie miejscowej Szkoły Podstawowej umieszczono tablicę pamiątkową, poświęconą małoletnim zmuszanym przez okupantów do niewolniczej pracy na roli. Przetrwała ona do momentu sprzedaży budynku po zlikwidowanej placówce. W jej miejsce przy ul. Polnej posadowiono w 1995 r. na niewielkim postumencie głaz pamiątkowy z nową tablicą. Drugie miejsce pamięci w Dzierżąznej znajduje się przed dworkiem, w którym obecnie mieści się Gminne Centrum Kultury, Sportu, Turystyki i Rekreacji, a w czasie wojny mieszkał komendant filii obozu. W kamiennym kręgu stworzonym z różnej wysokości granitowych słupków leży płyta o charakterze mamoratywno-informacyjnym. Niespełna 3 km od Dzierżąznej w Szkole Podstawowej im. J. Kasińskiego w Białej zwiedzić można bardzo ciekawą Izbę Pamięci Narodowej poświęconej małym więźniom z filii łódzkiego obozu.

Poruszając się w temacie trwałych znaków pamięci poświęconych dzieciom polskim z niemieckiego obozu pracy w Łodzi, nie sposób pominąć jeszcze jednego obiektu. Niestety jest to swoisty antyprzykład, choć po jego lokalizacji należałoby się spodziewać czegoś wręcz odwrotnego. Oto w łódzkiej archikatedrze w 2013 r. odsłonięto tablicę pamiątkową, na której widnieje nieprawdziwa informacja o 12 tys. dzieci, które zginęły w obozie przy ul. Przemysłowej. Nawet najbardziej szczera chęć oddania hołdu ofiarom nie usprawiedliwia powielania historycznych kłamstw, szczególnie, że dostęp o wyników najnowszych badań jest powszechny, a konsultacja projektu treści upamiętniania z ekspertami w temacie nie nastręcza żadnych trudności. Szacunek i pamięć o ofiarach musi być oparta na prawdzie o ich historii, a nie na sztucznym zawyżaniu liczby.

Pomniki, tablice, głazy pamiątkowe to istotne elementy miejskiego krajobrazu jednak najważniejsze jest, by wiedza o obozie i tragedii więzionych w nim dzieci była jak najbardziej powszechna. Moralnego obowiązku pamięci o dzieciach z „Przemysłowej" nie da się zredukować do tworzenia nowych upamiętniań i składania przy nich kwiatów.

Autor jest naczelnikiem Oddziałowego Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Oddział w Łodzi

Jerzy Rutkowski, jedna z ofiar niemieckiego obozu dla dzieci przy ul. Przemysłowej

ANNA JÓZWIK

Na podstawie zachowanych materiałów archiwalnych oraz relacji świadków nie można jednoznacznie ustalić liczby zgonów wśród młodocianych więźniów niemieckiego obozu przy ul. Przemysłowej w Łodzi.

Pracownicy łódzkiego Oddziału IPN z pionów upamiętniania oraz poszukiwań i identyfikacji odszukali informacje o pochówkach 77 dzieci zlokalizowanych na cmentarzu rzymskokatolickim pw. Św. Wojciecha w Łodzi (Kurczaki), który był jedną z dwóch czynnych nekropolii przeznaczonych dla Polaków podczas okupacji niemieckiej.

Jedynym potwierdzonym i zachowanym do obecnych czasów miejscem upamiętnionym pomnikiem nagrobnym jest mogiła Jurka Rutkowskiego (1934-1943). Historia tego dziewięcioletniego chłopca potwierdza, że wbrew oficjalnej propagandzie niemieckiej do Prewencyjnego Obozu Policji Bezpieczeństwa dla Młodzieży Polskiej w Łodzi – jak brzmiała w tłumaczeniu oficjalna nazwa – nie trafiały tylko dzieci uznane za „element aspołeczny", dzieci pozbawione opieki, osadzone za kradzież, czy też kryminaliści stanowiący element niebezpieczny dla dzieci niemieckich, ale także młodzi Polacy z rodzin odznaczających się silnym patriotyzmem.

Jurek Rutkowski był synem Edwarda i Haliny z Dygowskich. Urodził się 20 lutego 1934 r. w Płońsku (woj. mazowieckie). Jego dziadek był cenionym lekarzem społecznikiem i antropologiem. Za swoją działalność patriotyczną był więziony przez Rosjan w Cytadeli Warszawskiej.

Tradycje przywiązania do ojczyzny były w rodzinie Rutkowskich pielęgnowane w kolejnych latach. Ojciec Jurka – Edward przed II wojną światową

FOT. IPN ODDZIAŁ W ŁODZI

Grób Jurka Rutkowskiego

był zastępcą dyrektora Komunalnej Kasy Oszczędności w Płońsku. Wziął udział w wojnie 1939 r., walcząc w obronie Modlina. Następnie jako oficer rezerwy trafił do obozu jenieckiego w Waldenbergu.

Matka Halina po wybuchu wojny z pięcioletnim wówczas synem mieszkała w domu w Płońsku. W kwietniu 1940 r. do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück trafiły jej dwie siostry. Ona sama wkrótce została ograbiona przez niemiecką policję i brutalnie wyrzucona z mieszkania. Zamieszkała z dziećmi u swoich rodziców (z Jurkiem oraz kilkumiesięcznym Andrzejem).

Tragiczny dzień w życiu Jurka przypadł na 3 października 1943 r., gdy w niedzielne popołudnie zaczęła płonąć zniszczona stodoła sąsiada, a Rutkowscy byli w domu. Po dwóch dniach funkcjonariusze policji kryminalnej w Płońsku o podpalenie stodoły oskarżyli Jurka. Ostatecznie, mimo zapewnień o niewinności dziecka i usilnych próśb o wyjaśnienie pomyłki, 10 października Jureczek został aresztowany.

Jego matka po latach składając zeznania w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce wspomniała: „Następnego dnia dowiedziałam się od szofera-Polaka, że funkcjonariusze policji kryminalnej wywieźli mojego synka do Ciechanowa". Halina Rutkowska bezskutecznie wysyłała podania do władz niemieckich udowadniając niewinność syna. Przez dwa tygodnie Jurek był osadzony w tamtejszym więzieniu. Następnie wraz dwoma chłopcami został przewieziony do Łodzi. „Rozstając się z synem na peronie dworca w Ciechanowie nie przeczuwałam, że niewinne dziecko wywożą na miejsce tortur i kaźni – do obozu dla nieletnich w Łodzi" – wspominała Halina Rutkowska w maju 1972 r.

Jej listy wysyłane do osadzonego w Łodzi syna pozostawały bez odpowiedzi. Podejmowała liczne wysiłki, by uzyskać przepustkę na przyjazd do Łodzi. Dotarła tu 13 grudnia 1943 r. Było to jej ostatnie spotkanie z synem. Zobaczyła wtedy wynędzniałego i chwiejącego się chłopca, który słabym głosem wymówił: „Mamusia…". Nie mogąc rozpoznać swego dziecka, pod wpływem silnego wstrząsu zasłabła. Gdy trzy dni później przyszła do władz obozu, prosząc o uwolnienie syna, Jurek już nie żył. W obozowej dokumentacji jako przyczynę śmierci Jurka odnotowano gruźlicę płuc.

Pamięć o aresztowaniu Jurka była żywa wśród mieszkańców Płońska. Po wojnie właściciel spalonej stodoły wyznał przed śmiercią, że pożar został wzniecony od zapalonego papierosa…

Oddziałowe Biuro Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN w Łodzi zleciło przeprowadzenie prac remontowych grobu wojennego na cmentarzu rzymskokatolickim w Łodzi przy ul. Kurczaki 81, w którym spoczywa Jurek Rutkowski. Zakończenie renowacji nagrobka zaplanowano na grudzień br., co zbiega się z przypadającą 16 grudnia rocznicą śmierci chłopca.

Autorka jest pracownikiem Oddziałowego Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi